

KWADRYGA



**MIESIĘCZNIK
LITERACKI**

ROK III

NR. 5

WARSZAWA 1930 ROK

TREŚĆ:

STAN. RYSZARD DOBROWOLSKI	CHWAŁA LIŚCIOM DĘBOWYM	145
	BŁOGOSŁAWIONE PIEŚNI LAU- ROWE	146
MIGUEL DE CERVANTES SAAVEDRA (tłum. dr. Edward Boyé)	DON KICHOT. KAPITULUM X	148
	EPITAFIUM	156
	SONET	156
KONSTANTY J. GĄLCZYŃSKI	ADMIRAŁ	158
MARJAN PIECHAŁ	ANIOŁ ZAULKA	159
	MOST PONIATOWSKIEGO	161
LUCJAN SZENWALD	PORTRET MŁODZIEŃCA	163
STANISŁAW CIESIELCZUK	*	165
	HANDLARZE	166
WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK	GDZIE?	167
STEFAN FLUKOWSKI	SEN KOTA	168
STANISŁAW TUROWSKI	MIĘSNA MUCHA	173
TAD. ROMAN ZAMBRZYCKI	SPRAWA FRANKA	180
SERGJUSZ KULAKOWSKI	WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI (1894 — 1930)	185
LEON RYGIER	„CHIMERA” I „SKAMANDER”	187
DR. GRZEGORZ WIRSZURSKI	NOWE PRĄDY W LITERATURZE LITEWSKIEJ	191
STEFAN NAPIERSKI	GENJALNA KSIĄZKA	193
WŁADYSŁAW SEBYŁA	INFLACJA POEZJI	198
SERGJUSZ KULAKOWSKI	ZMOWA MĘŻCZYŃ	205
	WKLADKA: REPRODUKCJA DRZEWORYTU ST. MROZEWSKIEGO DON KICHOT W BIBLIOTECE.	

Redaktor i wydawca: WŁADYSŁAW SEBYŁA

Redakcja mieści się w Warszawie, ul. Senatorska 22,
(Księgarnia F. Hoesicka) Tel. 505-31.

Redakcja czynna we wtorki w godz. 18—19.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje Księgarnia F. HOESICKA w Warszawie,
Senatorska 22. Telefon 19-63. Konto w P. K. O. 3459.

Prenumerata wynosi rocznie Zł. 30.—

kwartalnie „ 8.—

Cena zeszytu pojedynczego „ 3.—



CHWAŁA LIŚCIOM DĘBOWYM.

1.

Dawno patrzym na ciebie — o proletarjacie,
na twój heroizm hardy, co przez wieki idzie —
dokąd — — — ?

Jednakowo fagasom i Cezarom demos
zdobi wieńcami głowy helleńskie — Norwidzie,
i rzymskie —
patetyczne.

I tkliwy i zwierzęcy —
zawsze jednakowy,
nieodmiennie
pogański!
wczoraj wieńczyć
a jutro
podeptać gotowy
głowę kutą w marmurze
dłutem archanioła —
od jutrzni do zachodu niepewny,
jak burze.

2.

Płyną rzekami łodzie pełne nagich ludzi
pochylonych,
równo prężą u wiosel twarde, grube mięśnie,
miedziana luna usypia, złoty kogut budzi
bronzowych
i grzywa rzeki chrzęści,
i płyną tratwy
wspiewane w rytm wody,
dokąd — dokąd —
dokąd —

Nad urwiskiem piaszczystym
 na złotawym brzegu
 człowiek
 z obróconemi oczyma,
 jak na magnetyczny biegun —
 na wodę,
 na mgliste
 zatoki,
 na wyspy —
 sam
 patrzy daleko, tylko patrzeniem zajęty,
 jak fala idzie
 i tylko,
 jak płyną na fali okręty
 i żagle
 pobłkitniałe na masztach.

Dostrzegli, widzą
 z gwiazdy
 bocianiego gniazda — —
 chwila:
 lecą z okrętów oklaski i krzyki
 i przepłynęli, jak cienie
 rzeką,
 co się skręca i rozkręca — — —
 wtedy na skinienie
 aniola
 sypnął wiatr liśćmi dębu na bezwładne ręce,
 na głowę, na ramiona —
 na osamotnienie.

BŁOGOSŁAWIONE PIEŚNI LAUROWE

Błogosławione laurowe pieśni
 własne, śpiewane śmiałym bogom, jak modlitwy
 i te, do żniw, płynące z młodych, silnych piersi
 i te surowe, twarde, jak hymny do bitwy.

Błogosławione pieśni mego ojca,
jak ogień pulsujące, jak blok młotem kuty —
złote, grające skrami, gdy on strunę trąca:
żelazne pieśni kuźni, warsztatu i huty.

Błogosławione laurowe pieśni,
które wiatr drzewom nosi, drzewo szumi chatom,
i które syn z różowej piersi matki wessie
i tamte głodne, gniewne, grożące zapłata.

Błogosławione pieśni triumfalne
zamknięte w czterech ścianach, huczące o ściany,
a potem ulicami, jak burze nawalne
idące przed pochodem rozwianym — rozwiane.

I jeszcze pieśń, co wszystkim jednakowo bliska,
i pieśń, która narody łączy w jednym krzyku,
i jeszcze buntownicza, ta, co się przeciska —
trzykroć skazana, nawet nie kona na stryku...

Błogosławione wszystkie pieśni, które
od wschodu do zachodu i w księżycu złocie
są dla serca człowieka równym, mocnym wtórem
i najzieleńszym wieńcem na jego robocie.

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

KAPITULUM X

W KTÓREM SIĘ OPOWIADA O PRZEMYSŁNYM SPOSOBIE, JAKI UŻYŁ SANCZO, CELEM ZAKŁĘCIA PANI DULCYNEI, JAKOTEŻ O INNYCH POCIESZNYCH A PRAWDZIWYCH ZDARZENIACH

Znakomity romanista dr. Edward Boyé ukończył pracę nad przekładem „Don Kichota“ Miguela Cervantesa. Jest to pierwszy przekład polski, dokonany z oryginału hiszpańskiego, opatrzony obszernym komentarzem i poprzedzony przedmową tłumacza. Don Kichot ukaże się niedługo nakładem J. Mortkowicza. Z pomnikowej tej pracy wyjmujemy fragment niniejszy.

Autor tej historii, doszedłszy do opowieści, w tem Kapitulum zawartej, radniejby był o tem wszystkim przemilczał, z obawy, że mu nie uwierzą. Szaleństwa Don Kichota doszły tutaj do ostatecznego kresu, jaki sobie tylko wystawić można, a nawet przekroczyły go na dwa strzały z kuszy. Mimo tych obaw i wątpliwości, opisał wszystkie wybryki na ten kształt, jak je nasz rycerz czynił, nie chybając prawdzie ni na jotę, i nie wiele dbając, że zyska reputację kłamcy. Ma on w tem swoje racje, gdyż prawda, chocia czasem nudy przysparza, przecie nie zanika, zawsze nad kłamstwem przodek bierze i jak oliwa na wierzch wypływa.

Zaszywszy się tedy w bór dębowy, niedaleko wielkiego Toboso się znajdujący, polecił Sanczy powrócić do miasta i nakazał mu, aby nie ważył się powracać, wókiiby nie rozmówił się z jego panią, prosząc ją, aby raczyła ukazać się swemu niewolnikowi - rycerzowi i udzieliła mu swego błogosławieństwa, które mu pozwoli spodziewać się pomyślnego skutku we wszystkich twardych przedsięwzięciach i niebezpiecznych przygodach. Sanczo podjął się tego sprawienia, przyrzekając, że ni na włos rozkazaniu nie chybi, i że przywiezie równie pomyślny respons, jak i za pierwszym razem.

— Jedź, mój synku — rzekł Don Kichot — a nie trwóż się i nie mieszaj, gdy staniesz w jaśniejących promieniach słońca tej piękności, którą masz odszukać! O giermku najszczęśliwszy ze wszystkich giermków na świecie! Zakonotuj w swoim umyśle, jak

będziesz od niej przyjęty i niech as to nigdy z pamięci twojej nie wywietrzeje! Zważaj dobrze, czy się na twarzy zmieni i zarumieni, gdy jej mój sekretny komiss wykladać będziesz, czy się zaturbuje i pomiesza, gdy imię moje wymienisz, czy się poruszy na swem bogatem węzglowiu z poduszek, na którym może ją siedzącą znajdziesz w wielkiej i wspaniałej sali gościnnej, jak tego obyczaj wymaga. Jeżeli zaś ją stojącą zastaniesz, bacz, czy z nogi na nogę przestępować nie będzie, czy udzieloną ci odpowiedź dwa albo trzy razy powtórzy, czy z przykrej, uprzejmą się stanie, z cierpkiej, zakochaną, czy ci dłonią nie dotknie grzywy, aby ją poprawić, chocia nie będzie w nieładzie; mówiąc węzłowacie, zważaj pilnie na wszystkie jej gesty, poruszenia i obroty. Gdy mi szczerzy wyraz ich doniesiesz, przeniknąć potrafię miłosne jej serca skrytości Trzeba, żebyś wiedział, Sanczo, że kochankowie wiedzą z powierzchniowych wzruszeń i słów, co się wewnątrz święci. Są to posłańcy miłości, którzy nowiny przynoszą i podają na jaw tajemnice serca osoby ulubionej. Idź, przyjacielu, niech fortuna przychylniejszą ci się okaże, niż dla mnie była, życzę ci pomyślniejszego skutku, niż się sam spodziewam i oczekuję w tej smutnej osobności, w jakiej mnie pozostawiasz.

— Pojadę — rzecze Sanczo — i wkrótce powrócę. Niech Wasza Miłość rozszerzy nieco swoje ściśnione serduszek, które w tej chwili nie większe być musi od ziarnka orzecha. Baccie W Panie na to, co przysłowie powiada: mężne serce wszystkie przeciwności zwycięża. Mówię tak, gdyż, jeśliśmy pałaców i zamków pani Dulcynei po nocy znaleźć nie mogli, to za dnia bez nijakich trudności je odszukam. Gdy zaś już je odnajdę, pozwólcie, abym sam z panią Dulcyneą całą rzecz uładził.

— Zaprawdę, Sanczo — rzekł Don Kichot — zawsze trafnie do naszych przypadków przysłowia swoje stosujesz. Oby Bóg zdarzył pożądaný skutek moim pragnieniom.

Sanczo obrócił się plecami i zaciął swego osła. Don Kichot pozostał, siedząc na koniu, wyciągnięty na strzemionach i na lancy wsparty, pełen myśli smutnych i pomieszanych, wśród których go zostawiamy, dążąc za Sanczem. Giermek odjechał od swego pana niemniej, jak on, frasujący się i zamyślony. Tak frasujący się i zamyślony, że ledwie z lasu się wynurzył i, odwróciwszy głowę, pomiarkował, że już od Don Kichota widziany być nie może, zlął z osła, usiadł pod pnem drzewa i jął mówić do siebie na ten kształt:

— Dowiedzmy się teraz, braciszku Sanczo, dokąd to Wasza

Dostojność tak zmierza? Czyli szukacie osła, co się wam zabląkał? — Nie, zapewne! — Czegóż tedy szukacie? — Jadę szukać wielkiego nic: księżniczki, a w niej słońca piękności, jeżeli już nie całego urody nieba. — A gdzież chcesz odnaleźć to, o czym mówisz, Sanczo? — Gdzie? W wielkiem mieście Toboso. — Dobrze, a od kogóż to jedziesz wysłany? — Od sławnego rycerza, Don Kichota z Manczy, który naprawia błędy, daje jeść temu, kogo pragnienie nęka, a pić temu, co głód odczuwa. — Wszystko dobrze dotąd! A wiesz, gdzie jej dom się znachodzi, Sanczo? — Mój pan powiada, że mają to być królewskie, wspaniałe pałace. — Zaliżes przypadkiem widział który z nich? — Ani ja, ani mój pan nigdyśmy ich nie widzieli. — Aż ci się nie wydaje, że mieszkańcy Toboso, uznawszy, że jedziesz w tym zamysle, aby cichaczem wykraść ich księżniczki i naprzykrzać się ich damom, wychędożą ci należycie grzbiet i ani jednego żebra przetrąconego nie zostawią? Czyż możesz powiedzieć, że niesprawiedliwieby postąpili? Ani chybi słuszność po ich stronie by była. Chyba, że wprzód zważą, iżem tylko poseł i nie ze swojej głowy to robię:

„Jesteś, braciszku, posłem jeno,
I żadnej nie ponosisz winy“.

— Nie dowierzaj temu nazbyt, Sanczo! Ludzie z Manczy kolearyczni są bardzo, chocia i czcigodni. Niczyich wydwarzań zcierpieć nie mogą. Na Boga żywego, jeżeli tak mało wiesz, niedobrze z tobą będzie! Tam do kata! Tylko tak dalej! Jakiż bis cię podwozisz?! Wierę, szukać kota o pięciu łapach, dla czyjejś zachcianki! Pytać się o Dulcyneę w Toboso, jest to samo, co pytać się o Mariolę w Ravennie lub o bakalarza w Salamance. Czart, czart ani chybi w to zatrudnienie mnie wprawił.

Taki dyskurs Sanczo Pansa sam ze sobą toczył, a później do takiej konkluzji przyszedł:

— Na wszystko jest sposób i rada, krom śmierci, pod jarzmo której wszyscy poddani będziemy, choć u życia kresu nie w smak nam to idzie. Z tysiąca oznak poznałem, że mój pan jest szaleńcem, godnym zamknięcia. Prawdę mówiąc, i ja mu ani na krok nie ustępuję, i jeśli prawdę powiada przysłowie: „Rzeknij mi, z kim przestajesz, a powiem ci, kim jesteś“ i inne „Nie gdzie się rodzisz, ale gdzie żrzesz“, tedy muszę być bardziej od niego z mózgu obrany, gdyż włóczę się za nim i służę mu. Przeto będąc takim szaleńcem, jakim jest i takim warjactwem ogarniętym, że jedną rzecz za drugą poczytuje, białe czarnem nazywa, a czarne białem, wiatraki

za olbrzymów bierze, muły zakonników za wielbłądy, za armje nieprzyjacielskie gromady baranów i owiec i tysiące innych i tym podobnych rzeczy, łącno uwierzy, że pierwsza dziewczka chłopska, na którą się tu natknę, jest jego panią Dulcyneą. Jeśli nie zechce uwierzyć, tedy się zaklnę. Gdy przysięgnie, że nie, ja przysięgnę, że tak. Jeżeli będzie trwał w uporze, ja także się upierać będę; niech będzie, co chce, ale moje zawsze na wierzchu pozostanie! Może zasadziwszy się na moim uporze i sprzecząc się do upadłego, tyle wskóram, że mnie drugi raz w podobnem poselstwie nie wyprawi, gdy ujrzy, jakie to hultajstwa przynoszę mu w zysku. Może też uwierzy, jak się tego spodziewam, że jakiś złośliwy czarnoksiężnik, jeden z tych, o których powiada, że mu są wielce przeciwni, odmienił pozór pani Dulcynei, jemu na psotę i zmartwienie.

Tak myśląc, Sanczo Pansa uspokoił się i miał już tę rzecz za dobrze uładzoną. Umyślił jeno zaczekać do wieczora, aby Don Kichot uwierzył, że giermek zużył ten czas na drogę do Toboso i z powrotem. Wszystko się powiodło po jego myśli, bo gdy już chciał osła dosiąść, ujrzał nagle trzy chłopki, jadące od Toboso na trzech osłach czy trzech oślicach (autor tego nie mówi, ale przypuszczać można, że to były oślice, na których zwykle dziewczki chłopskie jeżdżą. Nie jest to rzecz wielkiej wagi, nie trzeba tedy zatrudniać się, aby prawdę odgadnąć).

Ledwie Sanczo spostrzegł dziewczki, skoczył co tchu, by Don Kichota odszukać. Znalazł go ciężko wdychającego i czyniącego żalosne narzekania miłosne. Ujrzawszy go, Don Kichot spytał:

— Jak tam się sprawy mają, przyjacielu Sanczo? Czy ten dzień biały, czy też czarnym ma być oznaczony kamieniem?

— Lepiej będzie — odparł Sanczo — gdy Wasza Miłość okryśli go czerwonym, jak to czynią w szkołach na pismach, zalecających się przez swoją udatność, tak aby lepiej widziane były!

— Zatem dobre nowiny przynosisz? — rzekł Don Kichot.

— Tak pomysłne — odparł Sanczo — że Wasza Miłość winien tylko spać Rossynanta ostrogą i wyjechać na równinę, aby ujrzeć panią Dulcyneę z Toboso, która w towarzystwie dam tutaj dąży, chcąc powitać WPana.

— O Boże Wielki! Co ty mówisz, drogi mój Sanczo? — rzekł Don Kichot. Nie zwódź mnie i nie staraj się omylną radością pocieszyć mego prawdziwego strapienia.

— Cóżbym odniósł w zysku, gdybym chciał zwieść WPana —

odparł Sanczo — zwłaszcza, że łatwo i zaraz doświadczyć można prawdy tej rzetelności. Dodaj W Panie ostrogi Rossynantowi i ruszaj naprzód, a ujrzysz naszą panią, księżniczkę, przybraną wielce ozdobnie, jak jej się należy. Nietylko ona, ale i jej trzy panny służebne są tak przystrojone, że widać tylko blask złota, pereł, djamentów, rubinów i złocistych czy brokatowych materji, na dziesięć palców szerokich. Ich włosy, rozsypane na ramiona, są jak promienie słońca, igrające z wiatrem. Krom tego siedzą na trzech szlapakach srokowych, które są cudem prawdziwym.

— Rumakach, chciałeś powiedzieć, Sanczo.

— Nie jest w tem wielka różność — odparł Sanczo. — Niechaj zresztą jadą, na czem chcą; są to najwdzięczniejsze damy, jakie sobie tylko wystawić można, a zwłaszcza pani Dulcynea, na którą zaprawdę trzeba patrzeć z rozdziawioną gębą.

— Jedźmy, synku mój, Sanczo — odparł Don Kichot. — Za tak dobre i niespodziewane nowiny dają ci w podarunku cały łup, jaki zdobędę w pierwszym, nadarzonem spotkaniu. Jeśli cię to zadowolni, obiecuję ci źrebięta, od trzech klaczy moich, które, jak wiesz, wnet się oźrebią na pastwisku, do naszej gminy wiejskiej należącym.

— Na ten czas przyjmę źrebięta w zapas — odparł Sanczo — gdyż nie wiadomo jeszcze, zali łup, w pierwszej potyczce wzięty, będzie wiele wart.

Tak mówiąc, wyjechali z lasu i ujrzeli w pobliżu trzy chłopki. Don Kichot objął wzrokiem całą drogę, wiodącą do Toboso, ale spostrzegłszy trzy dziewczki, zmieształ się srodze i spytał Sancza, czy zostawił księżniczkę i jej orszak za miastem?

— Jakto za miastem? — odparł Sanczo. — Zali Wasza Miłość masz oczy na karku, że nie widzisz, iż te, które tutaj jadą, jaśnieją właśnie niby słońce południową porą?

— Widzę tylko, Sanczo — rzekł Don Kichot — trzy chłopki na trzech osłach siedzące.

— Niech Bóg mnie od czarta obroni! — zawołał Sanczo. — Zaliż to możliwe, aby te trzy szlapani, czy jak im tam, białe, jak śnieg, wydawały się Waszej miłości osłami? Jeśli toby miała być prawda, do rozpaczki zostałbym przywiedziony!

— Mimo to, mówię ci, drogi Sanczo — rzekł Don Kichot — że są to osły, czy oślice, tak jak ja jestem Don Kichotem, a ty Sanczo Pansą. Przynajmniej mnie się takimi być wydają.

— Umilknij W Panie — odparł Sanczo — nie żartuj sobie ze

mnie, jeno przetrzyj dobrze oczy i pokłoń się pani myśli swoich, która już się do nas zbliża.

Tak mówiąc, zwrócił swego siwca ku dziewczkom, a później, zlazłszy z niego, schwycił za postronek jednego z osłów dziewczek, padł na kolana i rzekł:

— Królowo, księżniczko i grabianko piękności, niechaj Wasza Dostojność i Wysokość raczy przyjąć do łaski tego rycerza, Waszego niewolnika, który, widząc się być w Waszej wspaniałej przytomności, stał się kawałem marmuru, tak jest bowiem onicmiały i ogłuszon. Jam jest Sanczem Pansą, jego giermkim, on zaś błędnym rycerzem, Don Kichotem z Manczy, zwanym także Rycerzem Posępnego Oblicza.

Don Kichot ukląkł także tuż koło Sanczy i oczyma błędnemi, pełen pomieszania spojrzął na tę, którą Sanczo zwał królową i panią. Spostrzegłszy, że jest to tylko dziewczka chłopska, nawet nie urodziwa, o gębie szerokiej i płaskim nosie, osłupiał i nie śmiał ust otworzyć. Chłopki także zdumiały się wielce, widząc na kolanach dwóch cudaków o tak różnej posturze.

— Wynocha paralusy z drogi, dawajta przejść, gdyż nam śpieszno!

— O księżniczko, Toboso powszechna pani — rzecze Sanczo — zaliż wasze wielkoduszne serce się nie wzruszy, widząc tu u nóg Waszej Dostojności kolumnę i podporę rycerstwa błędnego?

Jedna z chłopek, usłyszawszy to, rzekła:

— Znam cię, smoczy pysku! Zaraz cię oporządę, psia jucho! Patrzajta no na tych frantów, którzy chcą z chłopek się naigrawać, tak jakbyśmy sobie pozwoliły w kaszę dmuchać! Wynocha, mówię, z tej drogi i jazda tam, gdzie wam trza!

— Podnieś się, Sanczo — rzekł wówczas Don Kichot. — Widzę przecież, że los przeciwny, mego zła niesyty, panuje nad wszystkimi drogami, któremi przyjsćby mogła jakaś radość do tej duszybiedaczyny, w ciele mojem zamkniętej. A ty, o skarbie doskonałości, jakiej tylko spodziewać się można, wdzięku ziemskiego arcywzorze, pociecho jedyna tego serca strapionego, które cię uwielbia, lubo nienawistny czarnoksiężnik mnie prześladuje i chmurą a mgłą oczy moje słoni, aby dla oczu tych twoja piękność nieporównana miała pozór biednej chłopianki, błagam cię, racz spojrzeć na mnie miłośnie i laskawie, chyba, że ten nienawistnik mnie także w jakieś straszydło przemienił, chcąc mnie obrzydliwym ci uczy-

nić. Zważ, że ta uniżoność i pokorność moja jest dowodnym znakiem holdu, jaki składa dusza moja twojej piękności oszpeconej.

— Ha, na duszę mojej babki! — krzyknęła chłopka. — Właśnieniem po to tu przyjechała, by słuchać waszych bredniów! Dajta nam pokój i w drogę nas puście swobodno!

Sanczo wstał, puścił ją wolno, rad mocno w duchu, że mu się jego fortel tak udał. Zaledwie chłopka — rzekoma Dulcynea, postrzegła się na swobodzie, gdy pobudziwszy do biegu oślicę kolcem, umocowanym na kiju, jęła harcować po ugorze. Oślica, czując, że bodziec nad zwyczaj jej dokucza, wierzgnęła kilka razy i wreszcie panią Dulcyneę na ziemię zrzuciła. Don Kichot, ujrzawszy to, podbiegł, aby ją podnieść. Sanczo także pośpieszył, chcąc poprawić i podpiąć popręgami kulbakę, która się osłowi pod brzuch przekręciła. Gdy już siwca oporządził, Don Kichot chciał ująć w pół swoją damę omanioną, aby ją na kulbakę wsadzić, aliści ta, podniósłszy się z ziemi, oszczędziła mu tej fatygi. Odstąpiła wtył dwa kroki, dla lepszego zamachu, oparła się dwiema rękami na krzyżu oślicy i skoczyła na kulbakę, lżejsza od sokoła, rozłożywszy nogi, jak chłop.

— Hej, do stu djabłów — zawołał Sanczo — nasza pani jest bardziej zwinna od krogulca. Wszystkich koniuszycych z Kordoby i Meksyku mogłaby nauczyć na koniu jeździć. Skoczyła na łęk tylni piorunem i teraz gna na oślicy niby na zebrze, ostróg wcale nie używając. Jej damy dworskie wyprzedzić się nie dają i pędzą z wiatrem w zawody.

Wszystko to była prawda, gdyż dziewczki, ujrzawszy Dulcyneę na kulbace, pognały za nią co tchu i przez dobre pół mili nawet głów nie odwróciły. Don Kichot odprowadzał je wzrokiem, a gdy już ich dojrzec nie mógł, obrócił się do Sanczy i rzekł:

— Cóż ci się wydaje, Sanczo, o zajadłej złości tych czarnoksiężników? Patrzaj, dokądże to rozciąga się ich zazdrość i nienawiść, jaką dla mnie żywią. Pozbawili mnie radości, jakąbym mógł odnieść, oglądając panią moją w jej pierwotnym i prawdziwym kształcie. Zaprawdę, przyszedłem na świat, aby służyć za wzór dla wszystkich nieszczęśników, i być tarczą i celem, w który godzą strzały przeciwnego losu. Musiałeś to spostrzec, Sanczo, że ci zdrajcy nie przestali na tem, że przeistoczyli moją Dulcyneę, ale przedzierzgnęli ją jeszcze w grubą i szkaradną chłopiankę. Odjęli jej także to, co jest zwykle wielkim damom, chcę rzec, piękny zapach, gdyż mają one zawsze przy sobie pachnące kwiaty i wonności za-

chęcające. Gdy się zbliżył, aby wsadzić panią Dulcyneę na oślicę, którą ty być mienisz rumakiem, poczułem okrutny smród czosnka, co mi ekliwość sprawił.

— O kanalje! — zawołał Sanczo. — Przeklęci i złośliwi czar-noksiężnicy! Gdybym mógł was ujrzyć na rożen nadzianych, albo nawleczonych na nić za uszy, niby śledzie, wędzące się u komina. Wiele umiecie, wiele możecie, a czynicie jeszcze więcej! Małoż wam, arcyszelmy, żeście przeinaczyli perły ócz mojej pani w gala-sy korkowego drzewa, a jej złociste sploty w szczecinę z ogona czerwonego byka, że wszczęt jej urodę popsowaliście? — Musie-liście jeszcze tknąć się jej wonności? Przynajmniej moglibyśmy wywęszyć, co się kryje pod tym szkaradnym pozorem — chocia, mówiąc po prawdzie, nie dostrzegłem wcale jej szpetoty, widzia-łem jeno jej piękność, którą podnosiła jeszcze brodawka nad gór-ną wargą, ozdobiona siedmioma czy ośmioma rudemi włoskami, długimi na dwa palce i zdającymi się być złotymi niciami.

— Według wspólności, jaka zachodzi między brodawkami na twarzy a innymi na ciele oznaczeniami, Pani Dulcynea winna mieć jeszcze jedno znamię na pośladku prawym, odnoszące się do zna-mienia na twarzy. Jednakże te włosy, o których powiadasz, są zbyt długie, jak na takie znamię.

— Przysięgam Wam WPanie — odparł Sanczo — że tam się nawszem cudnie wydają.

— Wierzę, mój przyjacielu — rzekł Don Kichot. — Natura nie uposażyła pani Dulcynei w nic takiego, co by nie było najprzed-niejsze i najdoskonalsze. Gdyby miała i sto takich znamion, nie byłyby to znamiona, jeno słońca i gwiazdy błyszczące. Powiedz mi jeszcze, Sanczo, czy to, co mnie się wydało kulbaką, było sio-dłem gładkiem, czy damskim?

— Nie — odparł Sanczo — było to siodło o krótkich strzemio-nach, z czaprakiem tak bogatym, że wart on jest połowę dobrego królestwa.

— Przeczczem tego wszystkiego oglądać nie mógł! — zawołał Don Kichot. — Mówię i powtarzam, że jestem największym na świecie nieszczęśnikiem.

Frant Sanczo o mało śmiechem nie parsknął, słuchając głupstw swego pana, tak gracko w pole wywiedzionego. Po wielu różnych dyskursach, wsiedli wreszcie na rumaki i udali się ku Saragossie. Spodziewali się tam wczas stanąć, aby być przytomnymi na uro-

czystych świętach, które w tem sławnem mieście corocznie obchodzą. Aliści, nim tam dotarli, zdarzyło im się w drodze tyle tak różnych i nowych przypadków, że zasługują one ze wszechmiar na spisanie i zapoznanie się z niemi.

Zakończenie Księgi pierwszej „Don Kichota“.

EPITAFIUM

Akademicy z Argamasilla, miasta w prowincji Manczy, na życie i śmierć walecznego Don Kichota z Manczy „hoc Scripserunt“.

Szaleniec, który Manczę ubrał w blask swej sławy,
Jaśniejszy, niżli Jazon swą rodzinną Kreteę,
Człek, co z ustawnych marzeń brał czynów podniecie,
Gdy jego wiek dla chimery był już nielaskawy.

Ramię, co tak niezwykłą sprawowało dzielność,
Że fama jej od Cathey poszła do Galety,
Muza wdzięczna, a wraz i okrutna niestety,
Ryjąca wierszem w spiżu swoją nieśmiertelność!

Ten, który Galaora zaćmił, Amadisa
Znacznie w tyle ostawił, dufny w swoją sławę,
Zbrojny w miłość, z kochanki na ustach imieniem.

Ten, co uczył rycerskich przewag Belianisa
I na swym Rossynancie odbywał wyprawę:
Spczywa pod tym twardym i zimnym kamieniem.

S O N E T

Głodomór, Akademik z Argamasilla, in laudem Dulcynei z Toboso.

Ta, co ją tu widzicie, o spasionym pysku,
Zbladłych jagodach i wydatnej piersi,
Jest Dulcyneą z Toboso! Najpierwsi
Za afekt swój, jej wzdargę odnosili w zysku!

Dla niej deptał Don Kichot Sierra Negra szczyty,
Z pól Montielu przebiegał do Aranjuezu
Dni i noce, zachody słońca, słońca świty
Nie mogły cię do wczasu pokusić, rycerzu!

...Choć biegalesz piechotą z Rossynanta winy.
O, nasz losie złowrózby! Ta Manczy królowa
I ten błędny kawaler zmarli w kwiecie lat!

Śmierć starła z jej policzków rumieńców karminy,
On, któremu pisana była wiąz laurowa,
Darmo szukał ucieczki od Kupida zdrad!

Przestań pisać te wiersze! — syczała kochanka w ucho,
I tylko księżyc podsłyszał, schylone, różowe ucho.

I jakieś flety ukryte były w jej biodrach i żebrach,
A może to księżyc szumiał potworną palmą ze srebra.

A może to była Brazylja. A może byłem pijany.
Do kochanki prostej, jak palma, przywarłem uchem do palmy.

Z nieczytanego dziennika najśmieszniejszy wyraz „*kabokle*“,
I noc uważnie patrząca przez gwiazdy, jak przez binokle.

I jeszcze co? i co jeszcze? W dalekim kościele dzwony.
2-ga w nocy. Park przed oczami chodził, jak tygrys zielony.

Usta tak bardzo blisko. Gwiazdy tak bardzo wysoko.
Może to jest poezja, a może tylko alkohol.

KONSTANTY I. GAŁCZYŃSKI

Witaj, panno wynikła z odmętów wieczoru,
 zmierzch cię z siebie wypieścił i w kształt żywy utkał,
 to do ciebie się krzyk mój ścieżką mroku znacz
 przez kurz świateł z pod latarni, o muzo zaulka,
 o gwiazdo rozpaczliwa, wytrącona z toru,
 pędem swego bezwładu gnana w mrok ostatni,
 piorunem blasku huknij w przepaść mej rozpacz
 a krzyk mój wichrem światła i płomienia natchnij!

Pozdrowia cię aleja i róg cię pozdrowia
 jasna gwiazda zdaleka, ciemna brama zbliżona,
 na trawnikach ocknęła się uśpiona trawa,
 listek szepce z gałązki do drugiego listka,
 pozdrawiam ciebie również ja, zwykły przechodzień,
 wiedząc z tobą, że żadna miłość nie jest trwała,
 a to, że chcę się stawać doskonalszym codziennie,
 to tylko tem mocniejszy skryty impuls ciała,
 jedyny, ach, jedyny łącznik między ziemią
 a niebem, które marzeń jaskółkami gonię,
 dlatego dotąd jeszcze groźnie we mnie drzemię,
 w sercu alkohol smutku, a pod czaszką płomień —
 ciało jest gniazdem myśli, myśl drogą idei,
 jeśli jest bez idei, wtedy w pustce wiszę,
 gdy się ciało z ideją w jedno myślą sklei,
 liść może być językiem, a język klawiszem —
 na zielonych klawiszach liści wiolinowych
 wicherze rozwianopalcy, zmiłuj się nad nami,
 oto nasze przed tobą pochylamy głowy
 nocą o lepszej doli parujące snami!
 Oto jesteś melodją w żywy kształt zakrzeplą,
 snem w ciało skryształonym, ideją wcieloną —
 a ja jestem człowiekiem, który ujrzał piekło

i runął w przepaść z jękiem pękniętego dzwonu —
a ja jestem człowiekiem, który chciałby z ciebie
główny ton w tobie brzącający wylać na wieczność,
a wie, że grabarz ton ten z twym ciałem pogrzebie,
że niema innej rady, że to jest konieczność,
że jeszcze dotąd nie jest tak, jak być powinno,
jeszcze dzisiaj nikt o tem nawet słyszeć nie chce,
że życie jest naczyniem, by myśl była inną,
że w myśli rośnie życie jak dziecko w kolebce —
tak idąc zmianą życia przez myśl i naodwrot,
zmieniam siebie i myśl mą i wszystko do gruntu,
więc widzę, że cię minął ten zjawisk kołowrót,
próżno pragnę wydzwięczyć z siebie strunę buntu
i myśli życiokształtnych nie chować w tych wierszy
ze słów giętkich jak trzcina kosze wyplatane,
skąd życia takie wąskie, a wiersz coraz szerszy
jak ten brzask co u ciebie zastał mnie nad ranem.

Już jesień od północy tchem ostrym i prędkim
pogasiła ogniste po ogródkach róże,
wypaliły się dawno gorące nagietki
i nasturcje jak iskry w złocie i purpurze
wiatr liśćmi rozmiata po pustych alejach,
chmury wron nadciągają i, kołując, kraczą,
a ja — w świata i w własnych zabląkany dziejach —
rozkwitam ramionami i pachnę rozpaczą.

Bij we mnie, wicherze zjawisk z pod ziem i znad niebień
ogniem kwiatów, mrowiem gwiazd, prądem dni i zdarzeń,
aż serce moje pryśnie skrami słów jak krzemień,
aż w nich wreszcie cień światła, mróz ognia wyrażę,
aż rozpacz, z którą w sobie męczę się i zmagam,
ujrzę częścią rozkoszy — ją rozpaczy częścią —
tylko strach mi zadmuchnij, tylko oczy zagaś,
tylko płomień języka w ustach zaduś pięścią! —

Zamknięty iskrą dźwięku we świata kropelce
pod nieba w noc gwiazdzistym — w dzień błękitnym dzwonem,
tutaj spalę bez reszty życie swe i serce
i sny nieskryształone i laury — wzgardzone.

Dotąd jeszcze się Wisła od brzegu do brzegu
 zatacza pod twym grzbietem napiętym ku niebu,
 jak pijana się burzy, grozi wirów buntem
 pod twym skokiem tygrysim zastygłym nad nurtem,
 wargami fal wypływa wściekłą pianę białą,
 o brzeg rozbija w jęku niemoc rozszalałą,
 językami przypliwów łapy twoje liże,
 bijąc pokłon w odpływach — to niżej — to wyżej...

Dotąd jeszcze się Wisła w zmarszczkach fal uśmiecha,
 widząc nad sobą wsparty most Księcia Józefa —
 tędy przeszła historia z Pragi do Warszawy,
 łącząc Polski bezbrzeżnej brzeg lewy i prawy,
 lewą stronę przeszłości i prawą przyszłością
 związała sznurem czasu tutaj — na tym moście...

Przedtem tutaj dwa kraje istniały — nie jeden:
 z tej strony przyczajony jak pies stał Belweder,
 z tamtej — pola, gdzie domy dachy w słońcu szczycą,
 most był tęczą przymierza, a rzeka granicą —
 rzeka uczuć bezmyślnych i myśli bezwolnych
 oddzielała gwizd syren od skowronków polnych,
 rytm fal od rytmu maszyn, w ziemi skryte siły
 od gwiazd uśpionych w wodzie, które wspólne były,
 dzwony, co się z jednego na drugi brzeg niosły,
 od jaskółek, wiszących nad wodą w czas wiosny,
 albowiem, mimo wspólnych dzwonów i jaskółek,
 tu stał biały Belweder, a tam — Sulejówek..

Raptem — w pewien spokojny, zwykły dzień majowy
 połowa ludzi w kraju potraciła głowy:
 Sulejówek się nagle znalazł w Belwederze —
 pamiętają to dobrze tłumy i żołnierze...
 Tu właśnie na tym moście był moment spotkania
 i rozstrzygnięty aktem walki pakt oddania...

Pierwszy wystrzał nad miastem, księżycem srebrzystym
 zawisł, potem się zamglil i pękł dżdzem rześistym,

od którego to echa w deszczu nieustannym
pięć tysięcy zwałiło się trupów i rannych,
otworzyło się nagle i nic niewiedzące
miasto, jak wrzód pęknięty bolesny i rwący,
aeroplanów osy cięły jadem stali,
czołgi jak wszy wżerały się wprzód — coraz dalej,
rwąc, łamiąc, rozrywając, miażdżąc naprzemiany
bruki, słupy i majem kwitnące kasztany — —
aż wreszcie przyszedł wicher i burzę obwieścił,
kropelkami po dachach domów zaszeleścił,
zagrał na falach Wisły i na deszczu strunach,
jak na klawiszach w basie zagrał na piorunach —
i tak oto ojczyzny brzeg prawy i lewy
igłami kul zeszyto i nićmi ulewy.

Potem krew deszczem świeżym do ziemi splukaną
uczczono biciem dzwonów. Chyłkiem rozebrano
barykady kolczastym umocnione drutem,
zszyto czaszki pęknięte i brzuchy rozprute,
bruk równo ułożono, słupy w bruk wkopano,
żeby wszystko jak przedtem zostało tak samo...

Dni te w serca popiele jak róże pogasły
i dziś choć księżyc rozkwitł w trawie gwiazd jak aster,
nie mogę zliczyć kropel przelanych zadarmo,
słyszę, jak jęczą w ziemi dzwonami alarmów,
jak krzyczą rozwartemi w kształcie zera usta:
„Polska“ — wyraz dla żywych znów jak zero pusty,
i czuję, jak mi nagle klatka żeber ciasna
oddechem się wypełnia, wzruszeniem rozrasta,
krwią, potem, żółcią gniewu i buntu zarazem
i bije, wali w piersiach sercem — jak żelazem! —

Teraz po gniewu piekle, po nadziei niebie
w smutku, którego żaden grabarz nie pogrzebie,
idąc mostem wstrząsanym kroków moich łkaniem,
ukrywszy bunt pod serce jak pod ciężki kamień,
nie wiem, błędząc wśród wspomnień, jak wśród grobów czarnych,
czy modlić się za żywych, czy kłąć — za umarłych...

MARJAN PIECHAŁ.

PORTRET MŁODZIEŃCA

Tłumnie wychodzą z westibulu goście.

Dozorcy senni
przynoszą mi herbatę, koc i pościel:
szumiący siennik.

Po salonach przeciąga mroźny wiew północy:
błękitna pustosz!

Jesteśmy senni: ty, monarcha nocy,
i ja — twój kustosz.

Otwieram flakon, w płuca wdycham eter,
i mgły się kleją
do szyb kwiecistych. Czeka, włożę sweter,
bo dreszcz mnie przejął...

Ta makabryczna galerja obrazów
jest oranżerją
włodowaciałą, kolorowych gazów
zamarłą prerją.

Tu śmierć. Tu blade, bezcielesne dłonie
tańczą z klarnetem.
Umarły światła, tylko jedno płonie
przed twym portretem.

Przed twym portretem w ramach czarnych wąskich
(passepartout srebrne),
światło rozlewa się w kałużach grząskich,
przez które przebrnę.

I światło wsącza się w twą nikłą cerę.
Twych oczu olów,
Jak przetopiony w błyszczącą literę,
lśni z oczodołów.

Myszę, że drgnęła twoja dumna głowa,
wargi spalone

tylko drżą; słyszę sercem twoje słowa
niewymówione.

Poco tłumaczysz się? Ja znam dokładnie
ten słodki nałóg,
płynący z głębin, których nie odgadnie
potęga nauk.

Ja wierzę, ja rozumiem, ja nie żądam
rejestrów przeżyć.
Fale ku strasznym zaniosły cię lądom!
Pozwól mi wierzyć!

Ja sam to wszystko wyrażę i powiem:
im słuchać rozkaż!
Toś ty, pod wonnem uśpiony listowiem,
wymyślił rozkosz

tak wielką, że pokrewna jest rozpaczy,
i odtąd płonąc,
szedłeś drogami, które pożar znaczy,
po ziemi wionąc.

Palcami błdzić po wypukłych domach
piersi kobiecych,
w zatoki wpływać, czaić się w załomach,
pełnych obietnic —

to nie zabiło straszliwego głodu!
Wśród tylu kobiet,
pięknych, rozumnych, kochających, młodych,
ni jeden obiekt

tej fantastycznej nie dał ci rozkoszy,
bez której marleś.
Więc, oplątany stosem srebrnych koszul,
sam się pożarleś!

Teraz w galerji portretów zastygłych,
w lodowej pustce,
krew twoja marznie w krystalicznych igłach
na białej chustce.

LUCJAN SZENWALD

„I widziałem niebo nowe i ziemię nową, albowiem pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeminęły“...

Obj. św. Jana 21, 1.

W noc, gdy wszystkie gwiazdy poszwały,
Gdy jak z cebra bezmiar srebro lał,
Szły po ziemi śpiewające skały,
Tłum kraterów płynnym ogniem piał.
Pogubiły się w przestrzeni światy,
Poplątały się im wątki dróg,
Wyfrunęły konie złud skrzydlate,
Roniąc dzwony pociskami nóg.
Mknęły miasta na wiszących wypach,
Rzeczywistość zapadła się w sen.
Obląkany, jak Apokalipsa,
Cały wszechświat rozsadził swój sens.
Mknęli ludzie, płonęli, ginęli — —
W miasta gromy! Żmij ognistych syk!
Światło rwało się z niebios gardzieli,
Głuchą ciszą milczał ludzki krzyk.
Dni i noce stanęły w pożarze —
Jeszcze jeden tylko człowiek żył,
Wirującym spętany mirażem,
Piekłem komet, węzowskich pił.
Wszechświat, blaskiem trzaskając w płomieniach,
W uszach ludzkich coraz bardziej cichł.
Szepnął człowiek: „Ach, niczego niema!
I mnie niema!“ I niema go. Znikł.
I nie było niczego. Był chaos.
Tylko pustka przędła pusty dym.
Wszystko, wszystko w nicość się przesiało,
Ginąc kresem swym w początku swym.
Aż raz kiedyś — niewiadomo kiedy —
Gdzieś w oddali — niewiadomo gdzie —

Z pustki biel chlusnęła zarem kredy,
Ukąpanym w wielkiej, czystej łzie.
Niewymiernych czasów poszum wzlatał,
Płomień pełniał, urastał i drgał —
Ku dzieciństwu nowego wszechświata
Znów wiosenny wiatr wieczności wiał...

H A N D L A R Z E

Życie to niezły interes. I śmierć to niezły interes.
Naprzykład: śmierć konkurenta. Wszystko ma tylko dwie strony:
„Dochód“ i „rozchód“. I nawet dalekie niebieskie sfery
Muszą się dać nam obliczyć w monetach cyfr, w cyfrach monet.

On nasze zna spekulactwa, ale mu ich nie potrzeba?
On psuje handel, przez niego porządny handlarz traci!
Popatrzcie: on się wzrusza muzyką ziemi i nieba —
No, poco on się tem wzrusza? No, kto mu za to zapłaci?

Nienawidzi melodji z najgłębszych głębin bijącej,
Wszystkim jednako najbliższej, gdy rozkołysze się szeptem.
Ona — złocista? Cóż z tego? Lecz nie jest złotem brzęczącym.
Ona — cudowna? Niech będzie. Lecz czemuż nie jest geszeftem?

My mamy swoje marzenia, ach, odurzamy się niemi!
Łokciami z naszych sklepików mierzymy nocy aksamit
I sprzedajemy go w myśli... A gdy nie stanie już ziemi,
Kupimy gwiazdy — i na nich każdy z nas wzniesie swój kramik.

STANISŁAW CIESIELCZUK

Noc zawiewa kamieniem
 I rozmawia z oknami.
 Jestem sam i ze mną ulica.
 Gdzie jest miłość? Stolica,
 Najeżona wartami,
 Dyszy ciężkiem, ciemnem cierpieniem.

Jestem sam. prostytutki
 Konkurują z księżycem.
 Jestem sam, jestem sam na świecie.
 W mokrych cieniów sekrecie
 Długoż drzemać ulicom?
 Gdzie jest miłość? O bzy! o smutki!

Gdzie jest miłość? Prorocy
 Gdzie jesteście i święci?
 Jestem sam i nie mogę dalej.
 Nocy, cierpka jak szalej
 I ruchomsza od rtęci,
 Przez me serce przepływasz, nocy!

Jest samotność nad nami,
 Jest żelazna tęsknota.
 Są świetliki miasta — latarnie.
 Padniesz — błoto ogarnie.
 Wstaniesz — mgła cię omota.
 Gdzie jest miłość?... Nie pytaj, zamilcz!

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Właśnie powrócił z podwórza, kiedy ona dopiero co wstała z łóżka. Długimi krokami laził bezmyślnie koło nóg krzesel i stołów. Starał się tylko unikać miejsc, gdzie chodziła. Obawiał się, iż za chwilę zawoła go słodkim głosem, a gdy nie będzie chciał zbliżyć się, to siłą go weźmie za skórę, pocznie tłamsić na kolanach, ogon wsadzać w zęby, albo nim kręcić jednym palcem... brrr...! Nieznacznie też spozierając, wsunął się pod kanapę i przysiadł z brzega, owijając ogon koło przednich łap. Z tego miejsca widział cały pokój i ją krzątającą się między meblami. Przerzucała z jednego kąta w drugi pudełka z kapeluszami, pończochy, suknie. Przelatywała przez pokój w cichych pantoflach, włożonych na bosc nogi, wracała zapomniawszy czegoś. Przez zapuszczoną roletę mocne słońce świeciło brązowo. W dwóch pasmach światła w szparze kręciły się tęczone pyły kurzu. Kiedy przechodziła przez smugi lub w ich bliskości, taniec pyłków stawał się niespokojny, warjacki, tłumny. Kot wtedy oblizywał się, ledwo ledwo wysuwając czerwony koniuszczyk języka i mrużył dostojnie oczy. Gdy je rozszerzał, tłumy pyłków już znikaly, reszta falowała niespokojnie, migotliwie. Tak ciągle. Ruchy kobiety były coraz bardziej nerwowe, gwałtowniejsze. Kręciła się po pokoju już od dłuższego czasu, a ciągle jeszcze miała na sobie nocną koszulę długą i żółtką. Co chwila podlatywała do lustra, oglądając twarz jeszcze nie mytą, ze zmarszczkami koło oczu, wypelzlą, zęby nierówne, duże, wysadzone ku przodowi. Siwiejące nieco na skroniach włosy zakrywała długimi, sztywnymi pasmami z nad czoła. Wreszcie zdjęła koszulę, włożywszy uprzednio krótkie kąpielowe majteczki. Kot zmrużył zupełnie oczy, gdyż w nos buchnął mu zniecka pył z pantofla, tuż tuż postawionego. Kiedy otworzył powieki, ujrzał łydkę ze skurczonym mięśniem i zaraz jej nie było. Kobieta stała znowu przed lustrem, wypinając się, oglądała piersi. Potem uniosła w górę obie ręce i jeszcze bardziej się przegięła. Brzuch wciągnięty w głąb, żebra nacisnęły skórę. Wspięta na palcach, trwała tak bez ruchu pewien czas. Obfite piersi podniosły się nieco, nabierając jędrności. Zaczęła się obracać to w tę, to w tam-

tą stronę. Wreszcie opuściła ręce i westchnęła. Potem dotykała lekko brązowych końców, aż zadrżała. Wtedy z pasją gniotła dłonią, twarz miała w skurczu i była zgięta w pół, nogi w kolana-
kach zwarte. Kot coraz regularniej wydymał się, ale jeszcze nie zasnął. Otrząsnął go z drzemki hałas. Spadło drewniane pudło. Pokrywa potoczyła się jak pijana, przewalając się z boku na bok. Zanim przyłgnęła do podłogi swą płaszczyzną, zafalowała kilkakrotnie, glucho hucząc. Otworzył oczy. Oszałamiałe pyły wirowały w szczelinie słonecznej. Kobieta stała przed lustrem zupełnie naga i bosa. Była już uczesana gładko, włosy świeciły się przylepione do czaszki, — teraz kończyła pudrować twarz, szyję i dekolt, czernić brwi, malować usta. Stała do niego przodem. Widział jej piersi, brzuch i uda. Podniósł się na przednich łapach i począł myć miękkie, szare futro. Gdzie nie mógł dostać językiem, tam sięgał zwilżoną łapą. Wykonywał to wszystko spokojnie i systematycznie. Potem powalił się, skończywszy myć futro na piersi i gładził podbrzusze, tylko jedną łapę uniósłszy aż pod sprężyny kanapy. Pręt słoneczny przesunął się tymczasem niepostrzeżenie ku nodze otomanki i wszedł na niego. Kot począł natychmiast sadowić się tak, aby jaknajwięcej słońca mieć na sobie. Nie patrzył nawet na pył, kręcący się przed nosem. Czuł słodycz ciepła słonecznego, jakże innego od ciepła pieca czy kamina. Umiejętnie nastawiał sierść, aby jaknajłatwiej promienie mogły przesunąć się między włosiem i dotknąć skóry. Nie zważał nawet wcale na szuranie i stuk jej obcasów, bowiem zdołała wreszcie włożyć pończochy i pantofle. W pokoju panował jeszcze większy zamęt niż przedtem. Na umywalce leżała nocna koszula, cała zamoczona, przypadkowo zresztą, jeden pantofel podawał się ku drzwiom, kiedy drugi o trzy kroki dalej szedł ku oknu. Na toalecie przed lustrem leżały poprzewracane słoiki, grzebienie maczały się w perfumach, a zapach jej ciała wdzierał się we wszystkie kąty. Ciszę przerywał tupot obcasów, rozsiewanych bezustannie po całym pokoju. Włożyła kapelusz i jeszcze z dziesięć minut stukała pantoflami, co chwila rzucając się w objęcia lustra. Gdzieś z za okien doleciał głos gwizdka fabrycznego. Po chwili drugi. Trzeci. Jedne kończyły, drugie zaczynały. Nareszcie zaprzestała bieganiny, rzekła coś do kota i wyszła. Klucz przekręcił się w zamku. Stuk pantofli zanikał w korytarzu. Z ulicy doleciała zmieszana fala głosów. To robotnicy wyszli na obiad z fabryk i warsztatów. Tłum podeszew tarł o betonowe płyty chod-

nika. Po jakimś czasie kroki zrzędy. Słońce zeszło już z kota. To wyrwało go z drzemki. Przesunął się leniwie dalej, biorąc na siebie ciężar ciepła. Czynił tak parokrotnie, aż w końcu usnął. Nie słyszał gwizdków fabrycznych, wołających do pracy, ani szumu nóg nerwowo biegnących. Roleta ciągle była brązowa, w korytarzach słonecznej światłości wałęsały się jak pijane samotne pyły. Wpadały w pas świetlny i wychodziły zeń każdym punktem linii, będącej granicą między jasnością a ciemnością.

Kot zapadł w ciężki, mocny sen.

Pasy światła poczęły się skręcać ruchami, podobnymi do ruchów węża. Zwijaly się i rozwijały faliście, płaskie teraz i gładkie. Oderwane były teraz od wszystkiego. Same w sobie. Ciemność trwała. Tylko te pasy, wijące się w morzu płynnego węgla, którym nalana była przestrzeń. Wreszcie połączyły każdy swe własne końce ze sobą i zamknęły w koła. Teraz okręgi ich wirowały, to oddalając się, to bliskie zupełnie a szerokie, gładkie, metalem słonecznym mięsiste. Potem zaczęły wirować ponad sobą. Jeden z nich o mniejszym promieniu przechodził pionowo przez drugi okrąg to w dół — to w górę. Z tego ruchu ocierania się powstał trzeci krąg, węższy, słabiej świecący i począł też przesuwac się pionowo w ciemności. Potem nagle zatrzymały się: szeroki pośrodku, dwa mniejsze jeden nad — drugi niżej. Po chwili spostrzegł, że w ciemni stoi beczka, jeszcze czarniejsza od otaczającej ją przestrzeni, a świecące pasy to obręcze. Naraz znalazł się na niej. Była dnem obrócona do góry i bardzo gładka, miła. Usadowił się wygodnie i patrzył w czerń. Jak długo tak trwał, nie wiedział. Od czasu do czasu poprawiał się, pomrukując. Nagle pod beczką posłyszał chrobot, najpierw lekki, potem coraz więcej natarczywy. Usłyszał pisk i drapanie. Zamarł w bezruchu, czuł coraz mocniej głód, ssący wnętrzości. Nosem lekko, bez szmeru zaczął wciągać przestrzeń. Długo nic nie czuł. Co wetchnął w siebie, natychmiast wyrzucał, było już niepotrzebne dla płuc. Przeciągał czerń przez siebie, jak pasmo jedwabiu, aby wyczuć inną nitkę, znajomą mu dobrze, zagubioną w dotychczasowy zapach. Gdy tę nić poczuje, przeciągnie ją aż do żołądka i tam zapłącze między kiszki. W miarę, jak nozdrzami będzie ją w siebie wchłaniał, nić będzie coraz grubsza, bardziej mięsista. Pisk stawał się głośniejszy, chrobotanie zamieniło się w systematyczne gryzienie beczki. Zapachu wciąż nie mógł uchwycić. Wciągał w siebie coraz to więcej przestrzeni i czuł, że pęcznieje. Aby prędzej natrafić na

tę nić najrozkoszniejszej woni z pośród tych, jakie znał, zaczął wypuszczać powietrze pyskiem. Nie zważał już na rozgłośnie chrapanie, jakie wydawał z siebie, co mogło wszak przestraszyć chroboczące myszy. Nagle spostrzegł, że zajmuje całe dno beczki i że to dno jest księżycem świecącym złoto. Chrobot stawał się coraz mocniejszy, zajadły, ciągły, a on nie mógł uchwycić tej ukrytej gdzieś nici. Coraz więcej czerni wciągał w siebie, aż poczuł, że sam jest czarny, jak i otoczenie. Z oczu jego szły dwa pasma światła. Łeb wystawał już poza brzeg księżyca - dna, niewystarczającego na objęcie swem kołem całego ciała. Nagle pojął ze zgrozą, że teraz musi w siebie wciągać ciemność, chociaż nawet chrobotu już nie słyszał. Czuł, jak jego skóra rozciąga się, ale nie pęka. Księżyc jak okrągły półmisek leżał pod nim. Zamknął mordkę. Nie wydychał ani odrobiny z tego, co w sobie zawarł. Jeszcze wciągał, zapomniawszy nawet już o myszach i zapachu ich. Musiał to czynić koniecznie. Czuł tylko, jak obsuwa się jego oparcie w przestrzeń, gdyż księżyc nie nadążył rosnąć z nim. Teraz stał już na kole, wąsko skupiwszy łapy obok siebie. Zaslaniały one prawie całą tarczę. Były bardzo czarne, aż się przeraził. Pomyślał też, jaki on musi być wielki. Ze strachu wciągnął porcję ciemności i jedna łapa zwisła w próżni, zsunięta przez pozostałe, grubiejące. Począł kręcić się w miejscu ze strachu. Chciał miauknąć i znowu wetchnął w siebie nową dawkę. Już tylko dwie łapy ledwo mięściły się na kole. Teraz stał jak skamieniały, nie śmiejąc odetchnąć nawet. Nagle wydało mu się, że słyszy chrobot i pisk. Po chwili jakby powtórzyło się to drugi raz. Tak — teraz chrobot huczał pod beczką bez przerwy. Pociągnął jeszcze i czerń zalała go. Poczuł, że łapy napuchły, zsunęły się po gładkiem, polerowanym kole. Chciał wrzeszczeć i nie mógł. Leciał w dół, wywijając ciężkim ogonem w próżni. Księżyc z ogromnego stawał się coraz mniejszy, aż zrobił się normalny — ot taki, jakim go widział ostatni raz. Wtedy spadł na łapy cicho, sprężyste na dach cały zielony. Zsunął się trochę na dół po pochyłości, ale zaraz odzyskał równowagę, zaczepiając pazurami o załamania blachy. Wdrapał się na grzbiet i usiadł na desce, wiodącej do komina. Spostrzegł, że był tu wczoraj. Spojrzał na łapy i zauważył, że są takie same, jak zawsze i że on sam nie jest czarny, ogromny, jak tam na księżycu. Popatrzył więc nań i miauknął. Oblizal się — potem mył sobie futro. Kominy były czerwone. Miauknął drugi raz i trzeci. Znowu się oblizal. Już nie pamiętał o tamtem wszyst-

kiem, co go spotkało, widział teraz tylko zielony dach, na którym było pusto i widno. Wstał i poszedł cicho po desce. Gdy ten dach się skończył, przeszedł na drugi, potem na trzeci. Przechodził z jednej płaszczyzny blaszanej na inną, przeskakiwał różnicę poziomów, czepiał się rynien, zwisając nad ponuremi przepaściami czarnych ulic. Wszystkie dachy były zielone i dobrze mu znane. Gdzieś na krawędzi rynny usiadł i lizał sobie łapę. Potem znowu zaczął wędrować po domach. Wreszcie zaszedł na jeden dach, nigdy nie widziany, był on szeroki, dosyć płaski, też zielony i z deskami do kominów. Kiedy szedł, już był w połowie, usłyszał skądś miauknięcie. Odpowiedział mimowoli i posuwał się dalej, ale miauknięcie powtórzyło się. Znowu odpowiedział. Nie mógł domyśleć się, skąd ono płynie. Zaczął nasłuchiwać. Miauczenie stało się głośniejsze — dwa razy. Wtedy poznał kotkę. Odpowiedział wrzaskiem. Głos kotki był jeszcze namiętniejszy. Tylko nie mógł dostrzec, gdzie ona znajdowała się. Stał, wyciągnięty jak struna. Czasem przysiadł i wrzeszczał. Głos ciągle odpowiadał mu, nawet stawał się coraz bliższy. Skoczył za jeden komin, skąd zdawało się, że dochodzi odgłos, ale było tam pusto — tylko zielony dach pławił się w świetle — płaski. Znowu wrzasnął. Odpowiedziano mu tuż tuż od komina. Obrócił się gwałtownie i ujrzał olbrzymią kotkę, stojącą z ogonem podniesionym, tyłem do niego. Wołała go coraz głośniej, coraz bardziej dziko. Zaczął podchodzić ku niej, nie przestając wrzeszczeć. Był może na trzy kroki — kotka ciężko dyszała, cała z brązu, w poświacie miesiąca. Wrzasnął i zwinął się, aby skoczyć. Wtedy obróciła nagle głowę ku niemu i ujrzał skurczoną twarz kobiety — jej. Przerażony, rzucił się w bok i

ocknął. Roleta była ciemna. Cisza — jeszcze nie wróciła.

STEFAN FLUKOWSKI

Ogromnie zmieniło się życie Walkury za ostatnie dwa lata. Czterdzieści lat przeżył. Dwadzieścia parę lat temu rozpoczął włóczęgę.

Miłował on tę bezdomność i swobodę. Nieraz jak zamyśli się — żal serce ściska — czemu wcześniej nie stał się „brodiagą“¹⁾ — czemu tych parę lat młodości zmarnował, siedząc na wsi?

Wódka i wędrówka. Tu - tam awantura — zmienia wtedy robotę, chlebobawcę i szuka innego miejsca dla siebie.

Do cerkwi Walkura nie chodził, ale myślał — żyję ja, niby ptak niebieski — sprawiedliwie żyję, nie dbam o pałace, nie dbam o biedne chaty — ot wszystko dobre, co na świecie jest. Jedno wiadomo — człowiek dla człowieka, jak zwierz, ale od tego rozum ludzki masz — ludziom nie wierzyć. Będziesz wierzyć — głupi jesteś, nie wierzysz, nic od nich nie chcesz — cały rozum.

Ale ostatnie dwa lata jakoś inaczej biegło życie Walkury.

Na dłużej z jedną babą się splątał — dwa lata temu — kilka miesięcy w mieście z nią żył, nawet izbę — norę swoją — wynajął i — innym człowiekiem stał się.

Robotę miał w porcie — przy elewatorach. Dlatego i z babą zwąchał się — od tego głupiego siedzenia na miejscu. Do niej na porę po robocie śpieszył. Ledwie elewator skończy szurgoty i gwizdy, już Walkurę niesie — niby z misek, w których baba zupełnie gorącą podawała, opar jakiś, dur jakiś szedł.

Zje kolację, a potem, na ławie położy się i „cygarkę“ ciągnie. Dur jakiś.

Dawniej tu - tam poszedł — z towarzyszami - bratwą na wódkę. Teraz ledwie robotę skończy, nie odpocznie — już go gna, jak na skrzydłach — ciągnie do nory.

Baba z początku dobra była. Posłuszna i pamiętająca. Tydzień z nią przeżył, a ta już o przyszłości mówi. A to kupimy, tamto kupimy. A to — zbierać pieniądze trzeba. Chciał Walkura na statek nająć się — dobrze płacą, ale gdzie! A zmarnujesz się — a nic nie przywieziesz — a poco — i tak siedział.

¹⁾ włóczęgą.

Któregoś dnia baba mówi — zaszłam. Wtedy Walkurę aż zaćmiło. Jakby sam z matki nie rodził się — nigdy nie myślał o rodzeniu dzieci — a tu masz — zaszła.

Chciał Walkura w nocy uciec, ale jeszcze prędeż z portu po robocie wybiegł i do domu, i do domu. Jakby sznurek jakiś między nim a tą babą był. A jak wejdzie, spojrzy — baba zdrowa, tęga — lniane włosy gładko przylizala. Nogi, jak te drzewa. Piętami bosemi o ziemię — buch - buch — aż podłoga trzęsie się. A ręce tak latają, przebierają.

Pracowita baba .

Byłby chyba tak wtedy i został przy niej Walkura.

Rozbiło się o wódkę. Walkura wtedy mądrze i dobrze pomyślał — mocno lubisz wódkę — baby nie bój się — baba wtedy jedno słowo dla siebie — nic. Wódka żadnego wroga nie boi się — wszystko zaleje.

I tu podobnie stało się. Dawniej Ulka ani słowa, jeżeli przychodzi podchmielony. Teraz przyszedł kiedyś — piekło zaczyna — z dziecka pijaka wychowasz, pieniądze marnujesz — i dalej — i dalej.

Byłby jej wtedy Walkura coś przetrącił, zły był ogromnie, zamierzył się nawet — wtem aż go zemdliło — a co, jak dziecku. co w niej siedzi, uszkodzenie zada. Aż zdziwił się Walkura, że tak o to dziecko dba i tak się trzęsie.

Splunął, chwycił czapkę — i tyle go widziała.

Od tego czasu jeździł po Woldze od Niżnego do Astrachania, ale wszystko było inaczej.

Dowiedział się Walkura, że związany jest. Dawna, swobodna głowa gdzieś przepadła. Inną głowę miał teraz Walkura.

Na wieczór położy się — baba z nogami swojemi grubemi w oczach stanie, całe jej ciało wielkie, rozrosłe przed oczami przewija się. Ręce czerwone, jak burak. Twarz gładka, bez zmarszczek i przylizane włosy.

Wypije Walkura wódki — na baby wymyśla, kobiety złe. Dawniej o tem nie mówił wiele. O wódce tejże po pijanemu rozmawiali, o rzece, ludziach, więzieniach. Teraz na baby wymyśla Walkura, sroży się, że nigdy go żadna nie wzięła, że każdą przytrzyma aż kości zatrzeszczą.

Wierzyli mu. We wszystkich portach nadwołżańskich wiadomo było — nikt Walkurze na głowę nie wejdzie — a chłop mocny, zły i mściwy, a ludziom niewierzący. Walkura — jedno słowo.

Niczem nigdy pogiębiony nie był — kapitana jednego, jak machnął kiedyś — aż szczękę złamał. Ciężkie więzienie, zesłanie, za połamane kości policyjne cierpiał.

Jedno słowo — Walkura.

Co do bab, to wiedzieli, że nasieniem tem gardził i nigdy o niem nie mówił. Kobiety całego świata, wszystkie żony tureckiego cara za półbutelki wódki oddałby.

Po cichu mówili, że na pole kukurydzy trzebaby go zaprowadzić¹⁾.

A teraz baby i baby — ledwie upije się — już wymyśla na nie.

Po kilku miesiącach, kiedy statek zatrzymał się w mieście, gdzie została Ulka — Walkura poszedł do niej.

Przyszło mu to nagle. Tak, jakby wczoraj pożegnał się — poszedł.

Prosto, z ulicy w ulicę, bez namysłu.

Drzwi zamknięte, a z za nich pisk ciągły, płacz dziecinny.

Oberwało się coś w Walkurze.

Tak — od serca odleciało. Wiedział, że to on, mały Walkura piszczy. I nie rozumiał, jak to kawałek swojego ciała tu zostawił, a sam po rzece pływał.

Pchnął drzwi jeszcze raz — zamknięte. Usiadł na progu.

Nie obejrzał się — Ulka nadeszła. Z pękiem bielizny do prania. Wpuściła go do izby i odrazu — a ty zbrodniarzu, a ty odstępcu, a czy nie twoje to dziecko.

Walkura słuchał cierpliwie. Baby on tej znieść nie mógł.

Ale siedział przy kołysce, zawieszonej na haku, wbitym w sufit i patrzył na małą głowę, zapuchłe oczy, bezzębne dźwiska i, myślał-byś. niby żelazną sztabą przykręcili go do tego dziecka.

Walkura nigdy nie litował się. Nie rozróżniał czy mężczyźnie, czy kobiecie, czy dzieciakowi, czy psu — jeżeli trzeba, z jednokowym sercem śmierć zadałby, a tu — te dziecko. Mucha to mięsna, a dla niej w Walkurze słabło i miękło.

Baba wyła, tupała bosemi nogami. Dziecko znów zadzwoniło, zakrzusilo się.

Walkura ze strachem chwycić je chciał — już się posunął. Spojrzał na swe ręce olbrzymie, sękaty i — nie wiedząc, jak radzić — całą kołyskę do góry podniósł, na rękach trzymał.

— Widzisz, widzisz — dziecko straszysz — powiedział cicho i prosząco. Nie mówił tak lat ze trzydzieści on — Walkura, może nigdy nie mówił.

¹⁾ leczyć obojętność do kobiet.

Czuł teraz, że dawne życie brodiagi przepadło.

Rozdzielił się teraz na dwoje, jest teraz tylko dodatkiem do tej mięsnej muchy, jest od tego, by tę muchę żywić i babę też, bo bez tej baby — dziecko na nic. Śmierć dla niego, dla dziecka, bez baby, Ulki tej.

Ulka zmiękła i do jedzenia posadziła. Pierze, powiada, dziecko żywi — na pana je wychowa, nie na brodiagę, jak jego ojciec zapowietrzony.

Ale Walkura wstrząsa się. Aż drży Walkura, mało, że nie kluie.

— Nigdy na pana, nigdy, nigdy. Wyrzeknie się nas. Wstydzić się będzie matki swej praczki i ojca marynarza niby, ale też i katorżnika, i pijaka. Nie, niech nie będzie panem, ot — człowiekiem prostym. Na starość spojrzeć będzie na kogo.

Walkura myślał zawsze gdzieś na wybrzeżu od wódki zdechnąć — a tu — już myśleć o spokojnej starości zaczął.

Ulka popłakała się. Niby rzeki z oczu jej ciekły.

I kiedy w parę godzin po tem Walkura wracał na statek, rozgrzany babą, jak piecem, był zupełnie z Ulką swą pogodzony.

Teraz, kiedy tylko statek przechodził i zaczepiał o miasto, gdzie mieszkała Ulka — zawsze Walkura śpieszył na ląd. Pił mniej, dużo mniej.

Dawniej każdy od niego „machry“¹⁾ na cygarkę dostał, a teraz nic — kup sobie — powiada.

A jak pieniądze po rejsie statku dostanie, to aż mu się ręce trzęsą i w szmatki zawija, myślałbyś, chłopka, co masło na sprzedaż do miasta przyniosła.

A co do dzieci — inny człowiek. Dawniej wszystko mu było jedno — dziecko czy szczeniak — jednakowy pomiot suczy.. A teraz — kiedyś ogromny ładunek z przystani na statek niósł. Z takim ładunkiem gnać trzeba, jak z ogniem. Plecy pali i do ziemi gnie.

Biegnie tak Walkura, a na plecach — Ararat cały.

Patrzy — a tu skądś dziecko pod nogami płacze się, po deskach położonych z brzegu na statek chodzi, małe dziecko, może lat trzy.

Na nóżkach kołysze się i stoi, oczy podniosło do góry, palec w ustach — na Walkurę patrzy.

Huknąć trzeba było — uciekaj. Walkura nic — zatrzymał się przed dzieckiem, na nogach kołysze się, jak ono.

¹⁾ machorki.

A tu wiadomo — z ciężkim ładunkiem biegniesz — dobrze. Stಾನiesz — kości ze stawów wychodzą.

On cicho woła do nich, do towarzyszy niby: usuńcie dziecko, usuńcie, zabrać je trzeba — jeszcze który do wody zepchnie.

A jak wracał — patrzył, czy dziecka gdzie nie widać. Nie było.

Mał już przeszło rok sobie liczył. Teraz ledwie się Walkura z dzieckiem i Ulką pożegnał — zaraz myślał o powrocie. Wciąż tylko dziecko i dziecko. Nie mógł dojść — jak to żył dawniej, kiedy dziecka nie było i o niem nie trzeba było myśleć, pewnie pustą miał głowę.

Tak w nim rozrosła się jedna myśl.

I śmierci zaczął się bać: kto o dziecku pomyśli, czy Ulka sama radę da.

Zresztą chciał żyć, żeby syna swego zobaczyć, jak dorośnie, jak chłopem zdrowym będzie.

Przestał ryzykować. Od dawnych bójek stronił, aż bratwa powątpiewać zaczęła w śmiałość Walkury. Ten i ów, szczególnie młodzik taki, co o Walkurze nie słyszał — jakieś niesprawiedliwe słowo powie. Walkura nic — machnie ręką, jak na komara.

A jak składkę na butelkę robić — to lepiej z nim nie zaczynać — na poczęstunek liczy — taki syn.

Tak mu i powiedział kiedyś Leszka, tak mu i powiedział — skąpiec się robisz — powiada — sknera.

Zapaliła się w Walkurze brodziacka krew.

— Łesz, psi synu — tyle mówi i poszedł.

Patrzą — wraca. Kilka butelek wódki niesie i ogórki, groch moczony, chleb.

— Pijcie, jedzcie — powiada. Nie myślcie, że Walkura inny jest — taki jest, jak był.

Bratwie w to graj. Żrą, piją — już i śpiewać zaczęli, aż kapitan ryczeć zaczął — powiada — picie piciem, a robota ma iść — djabelskie dzieci, świnie brudne.

Na drugi dzień dopiero Walkura obliczył pieniądze i widzi — źle. A co dla nich, dla małego znaczy, i dla Ulki. A co dla nich?

W południe statek miał dojść do Carycyna. Teraz Walkura chciał, żeby statek pod wodę szedł. Bo jak z pustymi rękami iść!?

Kiedy przybili i załoga na brzeg zesła, zeszedł i Walkura. Słowo - dwa i wymknął się z kompanji, ale póki do Ulki doszedł — długo kołował.

Ulka była w domu. Dziecko, jak zwykle — zdrowe, rumiane.

Zjadł. Kieliszek Ulka postawiła. Wypił. I odchodzi. Ulka wtedy — a pieniądze. — Niema. — Przepileś! I zaśpiewała. Kura wściekła.

W Walkurze po wczorajszym picu dawny lew - tygrys obudził się. Kiedy Ulka do niego z pięściami doskoczyła i krzyczy: dziecko masz, dziecko masz, pijaku. Walkura na to: zdechnij razem z nim, suko — i jak grzmotnie babę — odrazu położyła się.

Wyszedł wtedy zbuntowany Walkura — idzie środkiem ulicy i klnie — aż okna zamykają.

Czuje — oto on jest — Walkura dawny.

Wrócił na statek, jak odnowiony. Ładowali ze dwie godziny, a potem jedli.

Leży kompanja. Walkura, jak wódz. Tylko — znów o babach — tak je przeklina, jednego włoska na całym ich ciele nie zostawi.

Klnie tak i pomstuje, aż nagle — zaniemówił — przez pokład, na dziób okrętu idzie ona — Ulka, z dzieckiem na ręku.

Bratwa patrzy za Walkury wzrokiem i widzi też — kobieta.

Baba na statku zdarza się nieraz, ale baba z dzieckiem? Pasażerów przecie niema.

Walkura patrzy, patrzy — zerwał się.

A Ulka nic — tylko idzie, aż się deski uginają. Podchodzi — i tak przy wszystkich, przy załodze —
—tfu — pluje Walkurze w oczy — i w zęby go.

Tu już kompanja cała zerwała się na nogi, jak gromem uderzyło.

Stoi Walkura — siny aż, żyły na czole — skąd się biorą — jedna przy drugiej — jak sznurki.

A z oczu patrzy śmierć. Już ma przed oczami ciemność — tylko bić chce.

W takich chwilach Walkura na katorgę zasłużył.

A Ulka nic, tylko znowu go po gębie.

Towarzysze stoją nieruchomo — babę jeden może bić, ale wszyscy wojować nie będą.

A baba, jak stóg.

Tylko Leszka huknęła: no, Walkura!

Walkura rzucił się przed siebie. Ulka ani kroku wtył. Dziecko wystawia przed siebie.

— Bij swoje dziecko.

Walkurę jakby wodą oblał.

A dziecko rączki wyciąga i za brodę ojca chwyta.

Wydało się Walkurze, że i dziecko na niego rękę podnosi — na ojca - pijaka.

Ulka zmiarkowała i znowu bije prawą ręką, a lewą dziecko przed siebie, przed siebie.

Cofnął się Walkura parę kroków i wtem — załoga zobaczyła wysoko podniesione, bosc nogi Walkury.

Woda plusnęła rozgłośnie. Walkura wypadł za burtę.

Baba krzyknęła jeszcze kilka słów do załogi — jeszcze ich zmyślała i poszła.

Walkura wylazł z wody i, tak jak stał, poszedł za nią.

Na statek nie wrócił i nikt go po tem zdarzeniu nie widział.

STANISŁAW TUROWSKI

Chłopak już od szóstej wynosił mydliny z pralni matki Berlin. Cierpliwie wbijał buty w lepkie błoto nieskończoną ilość razy. Z dziurawej miski woda ciekła na perkalowe portki, które przyklepiały się do ciała, uwydatniając muskulaturę nóg. Dokładnie liczył miski wyniesionej wody. Dziesiątkami jakoś prędzej się zdawało.

— Psie życie! — zauważył wreszcie, prostując obolałe ramiona po trzecim dziesiątku.

A jednak — dawniej chciał być tragarzem portowym i łamać się pod ciężarem ładunku. Przełazić tak całe życie, stukając drewnianymi chodakami.

Przy okazji uszczypnął Mańkę sąsiadów, aż się dziewczyna z bólu popłakała.

— Bękart!

Może to i prawda. Franek zrobił nieprzyzwoity ruch w stronę dziewczyny i począł wyżymać wodę z przemoczonych portek. Dosyć tego na dzisiaj.

— Franek!

— bo żarcie ostygnie! — piszczala praczka, upychając bieliznę w kotle, z którego przytykały wąskie strugi pary.

Chłopak nie śpieszył się. Kiedy stara pójdzie do sąsiadów, otwórzy kufer i naje się do syta. Teraz w pralni duszno i płuca z trudem tam pracują. Para wypełnia izbę i tamuje oddech. Z sieni dołatywał zapach grzanego wina i łomot chodaków.

— Czekaj, draniu!

— znowu zaczynasz z Mańką — —

— widać po matce wzięłaś ochotę do paskudnej zabawy.

Stara wyliczała mu historję dnia, podobnego innym, jak ścierki kołysane lekkim podmuchem wiatru. Miewała często nieprzyjemności z powodu wychowanka. Chłopak miał pasję przywiązywania białych kokard bezdomnym kotom do ogonów. Władze miejskie uważały to za obrazę królewskiego koloru.

Franek wiedział, czem to pachnie. Przez kilka dni musi potem spać na brzuchu. Jak w ten dzień, kiedy podczas burzy wyrwało

okno i deszcz zachlapał izbę. Stara ma mocną rękę i ciosów nie żaluje. Stłukła go wtedy, że długo chodził ze spuchniętą gębą. Bóg strzegł, że piorun wtedy nie wleciał.

— Jedz prendzy. Odniesiesz bielizne.

Franek schował starannie ogryzione skórki od chleba i wyciągnął jedwabny sznur, na którym w wolnych chwilach wieszał bezdomne koty dla rozrywki. W tajemnicy przed starą, zbierał na czarną Anetkę.

— Możebyś tak już polaz?

— Już lece!

— lece!

Stara, nie mogąc doczekać się końca, zgarnęła mu z przed nosa jedzenie.

— Prendzy!

— i uważaj, żeby cie w tyłek nie postrzelili.

Na ulicach panował ożywiony ruch, jak za dawnych czasów. W powietrzu unosił się zapach zgnilych ryb i owoców. Franek omijał starannie toczące się po wybojach wózki i posterunki wojsk rewolucyjnych w długich, pasiastych portkach. Wszystko rozmywało się we mgle, jakby kto rozwiesił w powietrzu gęstą pajęczynę. Ulice gubią się gdzieś i urywają. Pod kamiennem sklepieniem mostu, przewalał się z pluskiem ciężki nurt Sekwany. Aniołek na skwerze sikał na niebieskie niezapominajki. Tu i owdzie leżały wciśnięte w błoto barwne ulotki, które redagował ktoś naprędce w pierwszym klubie politycznym. Na placu ktoś dowodził ochryplym głosem, że król to ograniczone bydło.

Franek chciał się docisnąć bliżej, ale go stamtąd przepędzili.

Po mieście włóczono bez potrzeby dragonów. Dziwnie wyglądałyby ulice Paryża, bez kiwających się sennie na koniach gemajnow. Konie szły bokiem zukosa. Pochwy zaledwie od poziomu odchylone u siodła, błyskały srebrem. Chłop w chłopa zaparty w kulbacc.

— lepiej być dragonem, niż wyciskać winne grona lub nosić wodę i mieć ciągle opuchnięte ręce. Teraz gorzej, bo lud prowadzi wojnę z królem i panami. Żołnierze biją się o pańską chudobę, o pańskie zamki i pałace. Można bezkarnie obrzucać wojsko kamieniami i wybijać szyby. Gorzej z tem, że stara żyła z pańskich pieniędzy. Nie dadzą roboty, a jeść zawsze trzeba.

Franek przypomniał sobie, że jest głodny. Puści jednego Ludwika na żarcie. Mniejsza o to. Odwiedzenie zakładu ojca Beval starczyło

za gazetę. Szynk przypominał mały Palais Royal. Tutaj wiedzano o wszystkim.

Reval był najbogatszym człowiekiem na przedmieściu św. Antoniego, choć się do tego nigdy nie przyznawał. W młodości był tragarzem portowym w Marsylji i badał zlekka zawartość przesyłek towarowych. Trzymał się zawsze zasady, że przezorność nikomu nigdy nie zawadzi. Zebrawszy dostateczną sumę, osiadł w Paryżu i otworzył zakład.

Tutaj złazili się bezrobotni, których pełno było w mieście od czasu, kiedy okręgi przemysłowe przerwały swą pracę. Tutaj kulawy Peysan sprzedawał karykatury króla i „pani deficit“ i objadł się zepsutemi ostrygami, które przygodnie kupował u znajomych kucharzy. Kolejno dotykał końcem nosa nadgniłych ślimaków i zaklinał się na wszystkich świętych, że chciano go wczoraj zabić, bo wyżygał się na placu Ludwika XIV. Ktoś z pijanych tłukł z pasją ludwikiem o stół, czyniąc nieprzystojne uwagi. Inni przeglądali aktualne rysunki. Śmiech plątał się z kruchym dźwiękiem tłuczonego szkła.

Ile razy Franek opuszczał gospodę, to czerwony koń troił mu się w oczach na tle niebieskiego nieba. — Zapewne matka Berlin wylała farbę na niebo.

Zewsząd padały strzały i tłum, wyparty z ulic, rozlewał się, jak atrament na nierównym stole.

— Na dom Inwalidów!

Franek polazł za nimi, przyciskając mocno znaleziony karabin. Siłą wpierali się w ulice, zagrodzone wojskiem. Wiatr dmuchał w oczy, podnosząc zeschnięte liście i tumany gryzącego pyłu.

Nazajutrz stara przeniosła się do krewnych.

Grandet dał im życie i mieszkanie koło piekarni, gdzie śmierdziało pleśnią i po kątach narosły grube zielonawe grzyby.

Daleki krewniak poczuwał się do pewnych obowiązków względem starej, która mu kiedyś pomagała, ale Franek musiał to wszystko odrobić. Pomagał staremu w piekarni i wymiatał rano strute szczury ze wzdętymi brzuchami. Rąbał drzewo i twarde meble, które kupowali na opał u przygodnych handlarzy. Pracował od rana do nocy.

Kiedy kończył codzienną robotę, ręce jakoś dziwnie leciały wdół, jakby były z ołowiu. Praca wyciągała zeń wszystkie siły i zdawało mu się, że goni już resztami życia. Ziąb chwycił ciało, wdzierając się przez nogawki zcerowanych portek.

Wieczorami laził nad rzekę, gdzie szeleszczą liście przerzucaue wiatrem i długie nitki żywego srebra kręcą się na wodzie. Włóczył się po kamieniach, które czas twardo spoil z ziemią.

Woda, jak codzien, wlokła się gdzieś w zielonem świetle księżycy i brzegi rzucały długie pogarbione cienie, niby sfaldowane łańcuchy górskie. — Ładnie to, ale wolał miasto, rozdarte rzeką, biejącą w słońcu i rudą wełnę fal w ciężkie, zamglone dni. Chwilami żarła go jakaś tęsknota i dziwny żal chwytął wtedy za gardło. Dobre były czasy, ale minęły bezpowrotnie. Djabli wzięli dzień wczorajszy i trzeba się z tem pogodzić.

Ustawił na kominie gliniane garnki z zakisłym kwasem do chleba. Odmierzył mąkę na wypiek, do której dodawali ukradkiem zmielone kasztany i zgarnął do kubła robaki, biegające po ciepłej glinie piekarnika. — Widocznie stary nie widział, że wypchnął kupę ciepłego chleba za okno. Pięść jest najsilniejszym prawem w walce o chleb. Zabraliby wszystko, ale oddział wojska rozpedził zebranych, tłukąc opornych kolbami.

Joaska przyszła na noc do niego i przyniosła kolację. W mętnej, słonej wodzie pływały grube ziarna kaszy i kawalki chleba. U sąsiadów w Paryżu świniom takie dawali.

Poczęli mocować się ze sobą. Joaska zacisnęła zęby.

Grzech! — wżarło się w jej świadomość, jak sygnał ostrzegawczy. Bywały dni, kiedy dziwnie bała się Boga.

Podsunał jej resztę błyszczących pieniędzy.

— Twoje!

— Dobrze.

Chłopak silnym chwytem przyparł ją do ziemi i ostra słoma kalczyła ciało.

Stary w jego oczach pobił Joaskę i wykręcił mu ręce do tyłu.

Zmagali się przez chwilę i Frankowi udało się strącić gliniane garnki z kwasem. Wybili okno i wyorali butami białe kresy na brudnej podłodze.

Krew zalewała mu oczy i w ustach plątały się wybite zęby. Kościste palce zacisnęły się koło krtani i czerwony kolor ogarnął izbę. Coś szarpie w płucach i zupa podchodzi do gardła. Dobrze, że ostatni cios był jego.

Uderzył. Nie mierzył, jak chłopcy, bijący się w niedzielę po kościele.

Uderzył, gdzie popadło. Stary zgiał się, jak zmarznięta ścierka, którą nagle chwyciło ciepło.

Wykopał pieniądze, ukryte pod gruszą w ogrodzie. Przeliczył je starannie i oddał Joaśce.

— Masz, weź! To twoje!

— pare ładnych miesiency przeżyjesz za to.

— A ty?

— zobacze.

Otarł rękawem krew, ciekącą z rozbitych warg:

— Może złape gdzie jedynasty bataljon — —

Był wschód słońca, oddarty od chmur nad rzeką, gdzie kobiety plotły zielone dna koszyków. Sosny okapywały wilgocią i szron puszczał, skute kruchym lodem igły.

— Może złape gdzie jedynasty bataljon — — —

TADEUSZ ROMAN ZAMBRZYCKI

Kilka lat temu Warszawa miała sposobność podziwiać Włodzimierza Majakowskiego, słyszeć jego nie głos — lecz ryk, patrzeć na jego barczystą postać boksera — czy marynarza. Sangwiničný, pewny siebie, Majakowski wszędzie był jednakowy: zdrowy, młody, nieskrępowany, zawsze zdradzający wspaniałw rozkwit. Dwadzieścia lat temu ubierał się w kaftan żółto - czarny, malował sobie na wargach postacie djabłów i przewodniczył bandzie kubo - futurystów moskiewskich, wymyślając podczas występów, co irytowało i ciekawiło liczną publiczność.

„Tańczymy tango z krowami!“ Świetna reklama, sute honorarja, rozpęta życia, gwizdanie na ojca - Marinetti'ego. I marzenia o tłumach bezbrzeźnych, szalonom tempie aeroplanów i aut, o sztuce dla ulicy, ba, dla całego świata. Lecz nie było wtedy radja i megafonów. Rozwój środków technicznych minimalny. Toteż wspaniała hyperbolizacja rozkwitła na lamach niezliczonej ilości wydań kubo-fururystycznych. Maczugą ryków walił ten kwitnący zdrowiem, olbrzymiego wzrostu młodzieniec po głowach słuchaczy, przyzwyczajonych do słów modlitewnych Błoka, do wspaniałej muzyki słów Balmonta, do kutej miedzi poezji Briusowa.

Był zjawiskiem nie tyle ciekawem, ile oszalamiającem. Podług Majakowskiego słowo nie było piękne ani brzydkie: było ono żywe. Mowa potoczna, jej obfity słownik, wolne od przymusu metrycznego rytmy — to wszystko szeroką falą wtargnęło do wierszopisarstwa rosyjskiego. Szereg utalentowanych poetów polskich wydał tłumaczenia wierszy wybranych Majakowskiego („Przekłady nowoczesnych poetów rosyjskich, pod redakcją Anatola Sterna. I. Wł. Majakowskij“, 1927), Juljan Tuwim po mistrzowsku przetłumaczył „Obłok w spodniach“ (1928), Wł Broniewski w jednym z ostatnich zeszytów „Dźwigni“ wydrukował wzorowe tłumaczenie jednego z ustępów poematu „Dobrze“. Stanowi to zaledwie jedną dwudziestą część całego dorobku dwudziestoletniej twórczości poety. Ten futurysta rosyjski drukował przeważnie wiersze tak, aby ich układ graficzny odrazu rzucił się w oczy (np. wiersze w almanachu „Zdechły księżyc“, 1913). Podkreślał w ten sposób stronę fonetyczną wierszy.

Do ciała z ciała nić pieśni plećcie!

Niech noce skłębią się w bukiet!

Dzisiaj przychodzę grać wam na flecie —
na własnym kręgosłupie.

(tłum. Br. Jasińskiego).

Ten opętany bałamut zdobywał się i na przepiękne wiersze liryczne, lecz w gruncie rzeczy pozostawał poetą tłumów. To też z wybuchem rewolucji znalazł się w wirze nowego życia, żył ulicą i dla ulicy, pisywał wiersze agitacyjne i dramaty (np. konstruktywistycznie wystawiona przez Ws. Mejercholda „Pluskwa“).

Majakowski zawsze był zajęty samym sobą, jak prawdziwy poeta liryczny („Włodzimierz Majakowski“, 1914, „Obłok w spodniach“, 1916, „Flet z kręgosłupa“, 1917). Słowa potoczne, wymyślenia, barwne obrazy, zawarte w jednym słowie, efektowne rymy, kunstowne rytmy... i nad tem wszystkim góruje autor. Zdumiewająca żywiołowość natury Majakowskiego niesie go ze sobą. Tem się objaśnia, że w latach wojny pisuje poeta czterowersze do plakatów wojennych o wielobarwnym patryotyzmie, w r. 1917 wydaje poemat pacyfistyczny („Wojna i pokój“, 1917), w r. 1918 — „Misterium-buffo“ o nastrojach bolszewickich. Wreszcie w r. 1921 anonimowo wydaje poemat „150 milionów“, w którym rosyjski chłop „Iwan“ (postać hyperboliczna z bajek ludowych) zwycięża Wilsona (to zn. amerykańską — i światową — burżuzję).

Nie dziw więc, że plakaty bolszewickie były ozdobione jego wierszami i że w zebranych satyrach Majakowskiego („M. uśmiecha się, M. śmieje się, M. wykiwa“, 1923) znajdujemy typowe elementy agitacyjne, przypominające słynnego pisarza bajek sowieckich, Demjana Biednyjego. Poemat „Dobrze“ (1927) poświęcony jest dziesięcioleciu rewolucji bolszewickiej. Mając szalone powodzenie, Majakowski wydawał kilka razy swoje „Utwory zebrane“ (ostatnio I—V, 1927). Debiutował Majakowski w petersburskim tygodniku humorystycznym „Satyrykon“; ostatnie utwory jego wskazują na to, że pozostał w głębi duszy tm samym mistrzem barwnej metafory, krótkiego ujęcia zdarzeń współczesnych w formie zwięzłej, krótkiej i efektownej. Ale obrazowość mowy jego jest zdumiewająca.

Nie wyliczyłem wszystkich głównych utworów, nawet — książek, Majakowskiego, ponieważ nie sporządzam katalogu, chociaż sam autor należy, niestety, do świata umarłych: 14 kwietnia zastrzelił się Majakowski w Moskwie, podobno z powodu nieszczęśliwej miłości. Kto wie, czy ten właśnie powód nie został wysunięty, aby nie nawiązywać tego zdarzenia do samobójstwa S. Jesienina (w grudniu r. 1925). Dodatek nadzwyczajny moskiewskiej „Gazety Literackiej“ z dn. 17 kwietnia zawiera obfity materiał o Majakowskim, jako pierwszym poecie Z. S. S. R. Pogrzebowi nadano charakter urzędowy, ciało spalono uroczysto w krematorium. To wszystko jest stroną zewnętrzną. Ale pomijając cechy wyłącznie polityczne działalności Majakowskiego, powinniśmy podkreślić, iż poezja jego wywarła wpływ nie tylko na futurystów: braci Burluków, Kruczyńskich i nawpół-obłąkanego Chlebnikowa. Śmiało powiedzieć można, że bez Majakowskiego nie powstałby „imażynizm“ z Sergjuszem Jesieninem na czele, ani też mało znana „Centryfuga“, z łona której wyszli nie tylko tacy, jak Sergjusz Tretjakow lub Mikołaj Osiejew, lecz i jeden z wybitniejszych współczesnych rosyjskich liryków, Borys Pasternak.

Technika wierszopisarza Majakowskiego długo jeszcze pozostawać będzie wzorem dla wielu młodych poetów rosyjskich, którzy uczą się na wierszach Majakowskiego, jak np. konstruktywista Ilja Sielwinskij, który wykorzystał jednocześnie i Chlebnikowa.

Wskazuje to na żywiołowość i współczesność twórczości Włodzimierza Majakowskiego w jej całokształcie.

SERGJUSZ KUŁAKOWSKI

Ustalił się już — i, według mnie, zupełnie słusznie — powszechny sąd nie tylko zawodowej krytyki, ale i przerzedzającej się coraz bardziej rzeszy prawdziwych przyjaciół młodej poezji polskiej — że grupa „Skamandra“ nie potrafiła dotrzymać przyrzeczenia, wyrażonego kiedyś w pierwszym numerze swego wydawnictwa („Skamander“ Nr. 1, styczeń 1920 r.): nie stworzyła mianowicie „poezji dnia dzisiejszego“. Mam wrażenie, że przyczyni kłęski szukać należy w programowym założeniu tej grupy, jakoby „wielkość sztuki ujawniała się nie w tematach, ale w kształtach, jakimi się wyraża, w tej przenajleższej i nieuchwytniej grze barw i słów, która surowe przeżycie zmienia w dzieło sztuki“. Właśnie w 1920 roku, kiedy Polska stawała w obliczu nie tylko przerażającej grozy wojennej, mającej zdecydować o jej wolności, ale i wobec naporu pływających ze wschodu nowych doktryn socjalnych, ci, najmłodszy wówczas, poeci, umieli się zdobyć jedynie na „niezachwianą wiarę w świętość dobrego rymu, w boskie pochodzenie rytmu, w objawienie urodzonych w ekstazie obrazów i wykutych w pracy kształtów“.

Trzeba przyznać, że wiary tej byli uczciwymi wyznawcami, że mowie naszej dali istotnie tę „nową składnię radosną“, którą wysławia Tuwim w swojej „Rzeczy czarnoleskiej“; ale, zdaje się, cała ich zasługa ogranicza się właśnie tylko do — bardzo gruntownej zresztą — przemiany formalnej, jakiej dzięki nim uległa — na długie lata — technika poetycka. I, rzeczywiście, inaczej już dzisiaj „tworząca Łada zdźwięki układa, składni radosnej rzęsiście rada“. Ale nie sądzę, by ziściło się optymistyczne proroctwo autora cytowanego wiersza, że ta poezja „barw i słów“ „krzykiem żywotnym w dzieje się wtoczy“. Nie zdradzili wprawdzie skamandryci — zgodnie ze swoją zapowiedzią — „serc dla nowinek“, ale co innego „nowinki“, a co innego — nowe myśli i uczucia. Tych stanowczo nie dali.

Był czas — pierwsze lata naszego stulecia — kiedy walkę „z laurowem i ciemnem“ kołtuństwem krytyki i wstecznictwem smaku estetycznego prowadziła w Warszawie „Chimera“. I jej program polegał głównie na wyłącznem prawie uwielbianiu piękna formalnego, oraz intelektualnej i artystycznej kultury. Różniła się — oczywiście — od „Skamandra“ swoim wyraźnym arystokratyzmem (nie tylko duchowym), swoją hieratyczną pozą i akademicką poprawnością (choć Lemański odgrywał tam — nie wiem, czy nie z większym talentem — rolę, jaką w „Wiadomościach Literackich“ wziął na siebie Słonimski) — ale obu tym wydawnictwom wspólna była redukcja zainteresowań do zagadnień wyłącznie niemal formalno-estetycznych, oba stworzyły kult snobistyczny wśród grona swoich — przeważnie społecznych — czcicieli.

Myślę, że wobec tego, com powiedział, nabierze pewnej aktualności sąd o „Chimerze“ człowieka, którego poglądy na znaczenie sztuki i poezji, jako czynników ewolucji psycho-społecznej, wydają mi się bardziej nowoczesnymi (rzekłbym nawet: współczesnymi), niż poglądy zarówno „Chimery“, jak i „Skamandra“. Człowiekiem tym był znakomity uczony Wacław Nalkowski.

jeden z najciekawszych i najoryginalniejszych umysłów, jakie poznałem w ciągu swego — dość długiego — życia.

Zaraz po ukazaniu się pierwszego zeszytu „Chimery“ Nalkowski zamieścił o nim w Nr. 142 „Głosu“ obszerną recenzję p. t. „Chimera wobec ewolucji“ (r. 1901).

„Spolecznicy — pisał — zarzucają często, i po części słusznie, modernistom brak zmysłu społecznego w ewolucyjnem tego słowa znaczeniu, a niekiedy nawet — wprost dążność do wstecznictwa kastowego lub religijnego“.

I, rzeczywiście, dostrzegł Nalkowski w „Chimerze“ takie — czasami istotne, częściej pozorne — objawy reakcyjnego nastawienia, jak potępienie „demokracji“, „równości“, jak dążenie do „hierarchji“, jak pretensje do rewolucji francuskiej, że „schłopiła szlachtę“; raziły go również tytuły hrabiowskie przed nazwiskami poetów, lekceważenie Zoli, i t. p.

Ale Nalkowski, aczkolwiek najgorętszy może u nas w owym czasie bojownik postępu psycho-społecznego, najzagorzalszy wróg troglodytyzmu — był jednocześnie świadomością wyjątkowo krytyczną i intuicyjną. Dlatego zasadniczo wziął „Chimerę“ w obronę. Dlatego przestrzega wszelkich „Połanieckich“ (używał tego terminu swojskiego zamiast cudzoziemskiego: „filister“), aby który z nich nie zechciał uznać narazie „Chimery“ za „ogromnie swoją“ i „po załatwieniu, jako zwolennik porządku, wszelkich formalności, nie wziął jej artystycznie pod brodę i nie usiłował zaciągnąć do — „służby bożej“.

Nalkowski przewiduje, że „Chimera, jakkolwiek niedość uświadomiona społecznie, nie jest jednakże swojską gęsią“, i mogłaby na policzkach Połanieckiego pozostawić taką „bliznę honorową“, że dla jej pozbycia się nawet podróż poślubna do Rzymu po leki nie na wieleby się przydała; napisu (Lemański): „w zdrowem ciele zdrowa świnią“ nie zmyje żadna woda cudowna“.

I tłumaczy Nalkowski swojemu „Połanieckiemu“, że „Chimerze“ chodzi ostatecznie o hierarchję duchową; że, zarzucając rewolucji francuskiej, iż „schłopiła szlachtę“, zarzuca jej również, że „nie uszlachciła ludu“ (a nie ma chyba tu na myśli herbów); że dalej „Chimera“ występuje przeciwko przeciwnaczcom starych wiórów, że Miriam uznaje w każdej jednostce ludzkiej możliwość istnienia żyły szczerego złota i pragnie warunków, sprzyjających jego ujawnieniu; że, jak już wspomnieliśmy, „Chimera“ daje wyborny wizerunek różnych „Połanieckich“ — i t. d.“

Wreszcie za bardzo znamienne uważa Nalkowski stanowisko „Chimery“ wobec Sienkiewicza, które wyraziło się tu w pochodzącej od Norwida formule: „laurowo i ciemno“.

Z drugiej jednak strony Nalkowski przyznaje, „że część winy za możliwość wyżej zaznaczonej pomyłki spada i na samą „Chimerę“, a to z powodu pewnego braku dobitności w wyrażeniach, głównie z powodu przestarzałej terminologii społecznej“, oraz z powodu pewnych szczegółów, które, jak sądził Nalkowski, nie zgadzały się prawdopodobnie „z ogólnem tłem „Chimery“, a zwłaszcza z jej dążnościami“.

A więc, „występując przeciw demokracji, bierze ją „Chimera“ w jej dawnem znaczeniu, które dziś jest równoznaczne z „burżuazją“; przytem winą tej demokracji było nie to, że wprowadziła równość, lecz — że ją wprowadziła tylko na papierze, w rzeczywistości zaś wprowadziła, jako burżuazja, nową

nierówność, nową hierarchję: w miejsce hierarchji urodzenia — hierarchję bogactwa". Protestując przeciwko tej terminologii, Nałkowski pisze:

„Nie. dzisiejsze pojęcie demokracji jest, jak wiadomo, inne i wprost przeciwne pojęciu burżuazji: dzisiejsza demokracja, dążąc do rzeczywistego zrównania nie jednostek, lecz warunków rozwoju każdej jednostki ludzkiej, jest właśnie jedyną drogą do wytworzenia się hierarchji duchowej. Kto więc jest zwolennikiem hierarchji duchowej, kto boleje nad nieuznawaniem, marnowaniem genjuszów, ten musi być właśnie zwolennikiem demokracji w jej dzisiejszem pojęciu: tylko ona, podnosząc poziom duchowy ogółu i wytwarzając warunki swobodnego rozwoju przyrodzonych zdolności jednostek, zdolna jest zerwać więzy zależności genjusza od uprzywilejowanych idiotów, oraz zwięzić cichłań duchową między genjuszem i tłumem, a tym sposobem — uchronić genjusza od upadku lub zmnarowania — nadać mu w społeczeństwie stanowisko naczelne, niby na wierzchołku zwartego trójkątnego klucza zérawi, prujących fale powietrzne w dalekim locie. Wszelka zaś hodowla genjuszów przez kasty uprzywilejowane, hodowla „laurowa“, prowadzi do pieczeniactwa, do kalectwa duchowego, do spodlenia: jest to hodowla owiec z krótkimi ogonami. by nie przeskakiwały przez płot przywileju i jedynie dostarczały wełny do ogrzewania cielska chlebobawców“...

„W pojęciu stosunku sztuki do społeczeństwa czasby już było, nawet u nas, pójść dalej, poza ciasne i błędne, arystokratyczne stanowisko Renanów, Bourgetów i t. p.“

Opoując przeciwko traktowaniu przez „Chimerę“ Zoli, jako pisarza „płytkiego i hałaśliwego“, Nałkowski stwierdza ironicznie, że „rezultat pomiaru głębin oceanowych zależy nie tylko od ich wielkości, lecz i od sposobu zapuszczania sondy; zdaje mi się, że gdyby redaktor „Chimery“ w chwili pisania uprzytomnił był sobie porównanie między „laurowem“ „Quo vadis“ i indeksowym „Rzymem“ Zoli, to sąd o tym ostatnim wypadłby inaczej: może ta mniemana „płytkość“ okazałaby się głębią dna dziejowego i społecznego“.

I tu dochodzi Nałkowski do zagadnienia, które w omawianej jego recenzji wydaje mi się najistotniejszym i po dziś dzień zawsze aktualnym.

„Ale powiedzą mi może — uprzedza ewentualną krytykę — iż to jest kwestja tendencji, a w ocenie dzieł sztuki i twórców tendencja nie wchodzi w rachubę, lub nawet, że stanowi cyfrę ujemną. Nie sądzę, aby kwestja była tak prosta. Zdaje mi się, iż wielki artysta, brzydząc się sztucznie, mechanicznie, lub nawet geszefciarsko dolepianą do dzieła tendencją, że tak powiem „tendencyjną“, nie może, jako dusza wszechobjmująca, syntetyczna, nie nosić w sobie, nie uznawać tendencji „organicznej“, że tak powiem immanentnej“... „Artysta, jak i uczone, pozbawiony tego organu, czy tego zmysłu, byłby takim samym, uboższym we wrażenia, kaleką duchowym, jak człowiek, pozbawiony np. sluchu, jest kaleką fizycznym“.

Dostrzegając, mimo wszystko, w „Chimerze“ „stanowisko ewolucyjne na polu reakcji idealnej“ przeciwko schlebiającemu burżuazyjnym gustom i instynktom filisterstwa, Nałkowski nie może jednak powstrzymać się od następującego ostrzeżenia:

„Ale gdy się zajmuje jakiejś stanowisko na polu takiej ewolucyjnej reakcji należy starać się o jasne, ostre odgraniczenie tego stanowiska: należy ostro

przeciwstawić tłum psychiczny tłumowi społecznemu, hierarchję duchową hierarchji przywileju, dawną demokrację burżuazyjną demokracji dzisiejszej; odwrotnie zaś nie należy obecnie przeciwstawiać arystokracji i burżuazji, bo obecnie one zjednoczyły się ze sobą w reakcji wstecznej, jak pierwotnie wrogie sobie bestje bratają się w jednym bagnisku podczas pożaru stepów. Inaczej bowiem, bez tak ostrego „hierarchicznego“ odgraniczenia się na polu reakcji, można wobec licznych objawów idealistycznego mimikry popaść w bardzo nie-miłe sąsiedztwo: wszakże szanowni „etyczni“ obywatele bajki Lemańskiego uprawiają też grunt reakcji „idealnej“.

Niewielki — stosunkowo do jej wartości artystycznych — wpływ „Chimery“ na naszą twórczość literacką w początkach bieżącego stulecia, oraz wyjaławiające oddziaływanie „Skamandra“ na ideologiczną stronę poezji jego akolitów i naśladowców wydają mi się właśnie rezultatem hipertrofji upodobań estetyczno-formalnych obu tych kapliczek literackich, oraz zbyt małej dbałości o „osobne odgraniczenie swego stanowiska“ psycho-społecznego, które „Chimerze“ zalecał w swoim czasie Nalkowski. Dlatego sędzę, że przypomnienie dziś jego ostrzeżeń ma znaczenie nietylko przyczynka historyczno-literackiego.

LEON RYGIER

Literatura litewska przeżywa obecnie prawdziwy kryzys. Ironicznie zaznacza prasa litewska, że książki litewskie były potrzebne wówczas tylko, gdy były zakazane. Niepodległa Litwa książek litewskich nie potrzebuje (oprócz podręczników szkolnej wiedzy).

Któż ponosi winę tego smutnego zjawiska?

Na to pytanie słyszymy różne odpowiedzi. Jedni posądzają o to pisarzy, drudzy wydawców, inni — czytelnika...

Prawdopodobnie wszyscy, biorący taki lub inny udział w wydawnictwie i szerzeniu dzieł literackich, ponoszą w pewnym stopniu odpowiedzialność, niewątpliwie wszakże najbardziej są winni dostarczyciele literatury — pisarze. Dlaczego Litwini nie czytują książek litewskich? — Dlaczego wolą — obce — w przekładzie lub też w oryginale? — Widocznie, więcej im przypadają do gustu.

O czym więc piszą i co piszą pisarze litewscy? — W historii literatury litewskiej odróżniamy dwa kierunki: a) romantyczna gloryfikacja przeszłości, zabarwiona tendencjami katolickimi w teraźniejszości, i b) naturalistyczne przedstawienie życia wiejskiego o tendencjach socjalnych. Jak jedno tak i drugie nie powstało na glebie litewskiej: romantyzm litewski — wnuk niemieckiego i rodzony syn polskiego romantyzmu, litewska beletrystyka ludowa — rodzona siostra rosyjskiej literatury ludowej. Żemaitė i Ładzyny Pelėda — to siostra rodzona w duchu Gleba Uspienskiego... Obydwa kierunki miały w swoim czasie wpływ. Życie jednak wciąż postępuje naprzód, i to, co dziś jest wzniosłym wzlotem — staje się jutro przyziemnym patosem...

W czasach caratu opiewanie Litwy niezależnej — mogło budzić szczery entuzjazm. Dziś niepodległość Litwy stała się faktem, to też hymny pochwalne przypominają nieco dźwięki katarynki...

Hymn niepodległości, prawdziwa poezja patriotyczna, jest jedynie owocem głębokiego przeżycia narodu, nie powstaje wszakże na zamówienie ministerstwa spraw wewnętrznych... Gdy się przyjrzymy współczesnej literaturze litewskiej — znajdziemy gloryfikacyjne hymny przeszłości i bardzo słabą reakcję w stosunku do przeżyć teraźniejszych... 10 lat niepodległości, reforma agrarna, nowa wieś, przewroty, zatarg z Polską — wszystko to stanowi przecież bogaty materiał dla pisarzy litewskich. Żywe książki, o treści jaskrawej, ujmującej palące problemy, nie spoczywałyby na półkach...

Współczesna litewska literatura porusza przede wszystkim zatarg z Polską. Utwory jednak na temat powyższy przypominają, pod względem literacko-artystycznym, masowo rozpowszechnioną szowinistyczną „beletrystykę“ w okresie wojny światowej, która dziś, niestety, może znaleźć zastosowanie jedynie jako papier do zawijania śledzi...

Wiemy, że krytycznie myśląca część młodzieży litewskiej nie raczy nawet spojrzeć na ową literaturę, jak zarówno na cały Parnas państwowej romantyczności, której „miłość ku ojczyźnie“ trąci szablonem i frazeologją. Widzie-

liśmy to na przykładzie sądu kowieńskiej młodzieży akademickiej nad „litewskim romantyzmem“. Romantyzm litewski posiada przeszłość bohaterską, teraźniejszość jego jest jednak podobna do życia zasłużonego bohatera, dogasającego w przytulku dla starców.

Istnieje wszakże jeszcze jeden kierunek literacki w Litwie współczesnej — powstał on z dążenia do udoskonalenia formy. Twórcami jego byli Balys Swoga i Faustas Kirsza. Chcieli oni zostać Beaudelair'ami i Verlain'ami Litwy oraz przyglądali się metodom twórczości Niemca Stephana George'a. Następne pokolenie zwróciło się twarzą ku wschodowi i obrało sobie za wzór do naśladowania futurystę rosyjskiego Majakowskiego. Ten kierunek jednak szybko się przeżył i nie znalazł szerszego uznania.

I otóż powstaje młode bractwo literatów litewskich — aktywistów, odrzuca ono i tych i tamtych. Chce kroczyć własną drogą — znaleźć kontakt z życiem. chce stworzyć literaturę młodej, włościańskiej Litwy. Obralo sobie jako patrona „młodego parobka wiejskiego o spracowanych rękach, o barbarzyńskiej, lecz pięknej, potężnej duszy, pełnego temperamentu, energii życiowej, szczerzej miłości do ludzi i społeczeństwa, który, obuty w chodaki, idzie na zdobycie ziemi, prawa, wolności...“

Owe bractwo literackie wydaje swoje pismo „Trzeci front“. O ile sądzić można z pierwszego numeru owego pisma, wypowiada się ono za nowym naturalizmem, wzbogaconym elementami ekspresjonizmu i konstruktywizmu.

Owe bractwo prosiło mnie, bym podał wiadomość polskiemu światu literackiemu o jego istnieniu i o jego dążeniach, co niniejszem chętnie spełniam. Poza oficjalną, dogorywającą poezją patryjotyczno-romantyczną, poza futurystycznymi dziwactwami, powstał w litewskiej literaturze w ten sposób trzeci front literacki, którego treścią jest pulsujące życie i problemy współczesności, a hasłem — służba narodowi. Daleki jest ten front literacki od szowinizmu narodowego, szuka natomiast kontaktu ze wszystkimi postępowymi literatami sąsiednich państw, zwłaszcza — bałtyckich. Odrzucając tradycyjne małpowanie Europy Zachodniej, pragnie stworzyć swoistą twórczość bałtycką.

Należy życzyć powodzenia tym młodym siłom literackim, wnoszącym nowy prąd w osowiałą, wskutek braku prawdziwej emocji, litewską twórczość literacką! Sądzić je jednak wypadnie nie według ich obietnic, lecz owoców ich pracy.

Dr. Grzegorz Wirszubski

RAINER MARIA RILKE, *Malte* (pamiętniki Malte-Laurdisa Brigge). Przełożył Witold Hulewicz. Warszawa, Ludwik Fiszer, 1927, W. Unl. i 215 i 5 nl.

Trudno jest bardzo pisać o tej książce, szczególnie mnie, dla którego była książką „jako taką“, bez przesady powiedzieć mógłbym jedyną książką mej młodości, dzisiaj, kiedy czytam ją po raz trzeci... Niegdyś obchodziłem się z nią, jak z relikwią, a nie wyznawałbym tego, gdyby nie przytrafiło się to wielu ludziom mego pokolenia, rozsianych po całym świecie. Lecz któżże z nas potrafi być jeszcze wierny? Czyż wzrastanie to nie to samo, co sprzeniewierzenie się? Czemuż, gdy wspominam o „Maltem“ wobec młodych poetów niemieckich, widzę na ich wargach nie tylko uśmiech zachwytu, lecz także grymas zniechęcenia? I czemu to dzieliłam sprzeczne te uczucia?

O książce tej, która nawet w brakach swych, intencjonalnych dziwnościach, osobistych partykularnościach, przetrwa chyba stulecia, nie tylko, jako jeden z najwyższych wyrazów prozy niemieckiej, lecz zarazem jako dokument całej epoki, dziś kończącej się z wolna, napisać można księgę nie mniejszej objętości, nie wyczerpawszy jej; a co dopiero, gdy zechcecie śledzić linię krzywą reakcji na nią.. Z konieczności poprzestaną na zaznaczeniach tylko.

I.

Postawa tłumacza, pełnego dobrej woli, starannego i rzetelnego, jest nieporozumieniem. Przedewszystkiem polega ona na monopolizacji; na cóż stwierdzać, iż jest to „jedyne autoryzowane przekład polski“, kiedy wogóle innego niema? Wynika to z nadmiernego pietyzmu, czyli w gruncie rzeczy z jakiegoś religijnego pięknoduchostwa, od którego nie wolny jest, zresztą, i sam Rilke.

Zastrzeżenia te bardziej jeszcze dotyczyć będą wstępu tłumacza. Przeważa w nim patos bez pokrycia, wzniosłość pseudologii. Żeby do takiego dzieła ośmielić się napisać jakiegokolwiek „wprowadzenie“, nie wystarczy przewracanie oczami z uwielbiania, trzeba mieć istotnie wiele, a choćby coś nie coś do powiedzenia, a także zatajenia — zamiast tego tłumacz urządza sobie prywatne wloty, okraszone teozofją, i wogóle woli w sposób nieco prostacki celebrować. Jest to stosunek najszkodliwszy, gdyż fetyszystyczny, czyli niedojrzały.

Sam przekład jest pracowity, ale nadto dosłowny. Takie dzieła wymagają kongenjalnej transpozycji. Język zaś Hulewicza niedość jest giętki, przeciwnie, często sztywny i drewniany; znać ślęczenie nad zdaniami, staranne składanie słów, i to nie zawsze szczęśliwe. Pomijam już germanizmy, bo te wydarzyć się mogą zawsze, także raczej na rachunek samego autora zapisać trzeba wspaniałe eksperymentowanie składnią, które język rewolucjonizuje nawskroś. Tłumacz jednak winien był tu znaleźć analogję, lub choćby je stworzyć; tak, jak przekład przedstawia się w obecnej postaci, jest starannym szkicem, który należałoby dopiero deformować i reformować. Bowiem tak zdań zbyt często już jest niepolski, a to, wraz z niedostępną treścią, zrazić musi cudzoziemskie-

go czytelnika. Takie przekłady dawać trzeba w formie ostatecznej, albo nie dawać wcale. Nie można tu się powodować szlachetną ambicją, o co podejrzewam trochę Hulewicza. W doborze słów też nie zawsze ma on szczęśliwą rękę. Pozorne niedbalstwo prozy Rilkego kryje najtrudniejszą, bo zamaskowaną i zatartą, dyscyplinę, przepalaną w ogniu niesłychanego napięcia. Tu konieczna jest właśnie, jak mało gdzie, współwibracja poetycka. Może to powód, dlaczego o książce tej, zaiste „niesłychanej“ (jak słusznie mówi tłumacz) dotychczas głucho w Polsce.

II.

Jedyne to większe prozaiczne dzieło Rilkego powstało w r. 1910. Data to podwójnie znamienna: dla autora, gdyż był to okres jego przełomu, gdy, ostatecznie wyzwalivszy się z płynności uczuciowej, z falującego bezgranicznie mistycyzmu, syconego poprzez pobyt w Rosji duchowem życiem prawosławia, wylamał się, pod wpływem Rodina, którego był wieloletnim sekretarzem, ku światowi przedmiotów, ku konkretowi, ku namacalności ziemi, by dalej kroczyć tą drogą w coraz większe odosobnienie, jak Norwid, i słowami stworzyć przy końcu życia budowle, godne gotyku i baroku („Sonety do Orfeusza“ i „Elegje Duinezyjskie“). „Malte“ jest niejako podwaliną tych ostatecznych luków, które chyba oprą się kruszącym dłoniom wieków.

Czas powstania ważny jest tu jeszcze z innego względu. Był to okres rozkwitu t. zw. modernizmu, rok śmierci Strindberga, zawsze jeszcze niezachwianego tronowania Przybyszewskiego. Dzisiaj, po latach dwudziestu, spojrzawszy już z perspektywy, niejako historycznej, bez trudu wydzielić można to, co w samym wątku treści, a nietyle w elementach formalnych, w prozie tej zawartego jest z czynników, zdeterminowanych w samym czasie powstania, czasie pozornego spokoju przed burzą, a tem większego fermentu i niepewności wewnętrznej. I, aby to odrazu powiedzieć, te właśnie składniki, te determinanty czasowe, najbardziej dzisiaj nas zrażają lub przynajmniej pozostawiają nas zakłopotanych i niechętnych. Tak, jak nikt, pomimo szacunku, nie akceptuje dziś całego Przybyszewskiego, co więcej, niekiedy uśmiechnie się nawet z politowaniem, podobnie i prozy Rilkego niepodobna już przyjąć bez oporu wewnętrznego. Gadanie o „wartościach wieczystych“ jest przykrą błagą, gdyż nawet Szekspir jest nie do przyjęcia bez tła renesansowego, a Goethe bez starej kultury patrycjuszowskiej XVIII stulecia.

W samej zewnętrznej nomenklaturze istnieje wyraźnie ta „Zeitverbundenheit“. Nazwiska i imiona tej książki — co już stwierdzono niejednokrotnie — imiona takie, jak: Brigge, Brahe, Malte, Ingeborga, Abelone, a także tytuły szambelanów, łowczych i t. p., słowem, cała strona dekoracyjno-zewnętrzna powstałaby nie mogła bez Jacobsena, drugiego geniusza. Nie zapominajmy, że skandynawizm dla owego okresu bojowego i przewycięzanego naturalizmu, oraz nawrotu czystej formy i symbolizmu, znaczył tyle, ile Wschód dla romantyków. Nietylko był ich źródłem, lecz także płaszczem formalnym. Dotyczy to, rzecz biorąc o stopień głębień, także atmosfery tej przedziwnej książki, atmosfery chorobliwie brzaskowej, która w Polsce najpełniejszy swój wyraz znalazła w „Próchnie“ Berenta. Berent, Rilke, młodzieńczy Hamsun wynikają niejako z tego samego klimatu psychicznego. Nic dziwnego, że z „Maltem“

pod względem znaczenia i doskonałości równałyby się mogły na całej przestrzeni literatury światowej conajwyżej genialne „Misterja“ hamsunowskie.

„Malte“ — to w pewnej mierze książka, reasumująca całą postawę psychiczną wszelkich heroicznym „bezdomników“, którzy nie potrafią poprzestać na zakłamanem pocieszeniu sztuki. Ta bezojczyźnianosc, tak pięknie i boleśnie utrwalona przez Banga, zaakcentowana jest jeszcze u Rilkego ciężarem przemieszanej krwi: poeta niemiecki, jakiego nie było od Nietzschego (gdyż wobec niego błędną nawet najpierwsi, jak George i Hoffmanstahl) jest austriackim szlachcicem, urodzonym w Pradze, ze znaczną przymieszką krwi słowiańskiej. Nic dziwnego, że przy końcu życia, jak wiadomo mi prywatnie, zachwycał się do głębi ostatnim okresem Słowackiego i całym Norwidem. Istotnie, „Elegje Duinezyjskie“ — to jedyny dokument poezji europejskiej, powstały całkowicie z ducha Norwida i to niezależnie od niego.

„Malte“ — to owa książka, o której marzył kiedyś Flaubert, marzył bezsilnie, jako o niemożliwości, gdyż właśnie ona to musiałaby go spolaryzować, całkowicie niedostępna była jego genjuszowi: książka bez wątku, bez rozwoju, bez uchwytniej treści fabularnej, bez czasu nawet, gdyż wszystko związane jest tu irracjonalną logiką wspomnienia; czas cofa się, to wybiega naprzód, ludzie dawno umarli wracają i grają rolę żywych, sami żywi wplątani są w niezrozumiałą grę, nici są splątane i prują się, a tka je tylko motek niepojętej śmierci, która także raz po raz zmienia swe oblicze i tysiące przybiera masek Rilke stworzył tu istotnie dzieło jedyne, komponowane w sposób zgoła rewelacyjny. Ta sztuka kompozycji wykracza już jakby poza sam artyzm, niejako go znosi, rozbija bezpiecznie granice literatury i pozwala się wlewać skłębionym ciemnościom. Ktoś pierwszy od czasu Dostojewskiego na nowo ukazał się nieustraszony, jeden więcej sekret wykradł zazdrośnemu bóstwu, na swoją postać i podobieństwo przetworzył jakby samego Stwórcę. Ale Bóg Rilkego to nie Demiurgos, lecz sama bieżąca strzała, kierunek uczucia, droga bezprzedmiotowej, niczego już nie pragnącej, miłości. Rilke w książce tej, jak nikt może, przed nim, rozpaczą zaakceptował istnienie świata takim, jakim jest. Chyba dlatego mówić o tem nie powinni sami literaci..

III.

To, co napiszę w następstwie, będą to luźne uwagi. Rezygnuję nawet z próby ogarnięcia całości.

1. „Malte“ jest symptomem, na najwyższym poziomie, płodności mazochizmu psychicznego. Mazochizm — to charakterystyczny wogóle dla przelomu stuleci XIX i XX. Autobiografia Strindberga choćby i wogóle conajmniej połowa jego twórczości — to rozkosz poniewierania sobą, poniżania siebie z fikcyjnych powodów, a rewolucjonizm jego, cała mściwość socjalna, jest zemstą wobec własnej rodziny, wynika z typowego kompleksu poczucia własnej „Minderwertigkeit“. Podobnie liryzm Rilkego w tej fazie jego twórczości zawsze graniczy z patologizmem. Może to jeden z powodów naszej niechęci, nas, którzy obecnie wielbimy sadystów takich, jak Mussolini i, jego karykatury, oraz systemy przez nie stwarzane z dnia na dzień, jak grzyby po deszczu.

2. Figuralność Rilkego w dwojakim znaczeniu. Postaci jego nie są ludźmi żywymi, ni widmami tylko, nie twarzą ni maską wyłącznie, nie aktorami ni widzami: są grą czyjejs halucynacji, a ten ktoś w rozszerzonych ekstazą źre-

nicach autora jest: — Bogiem. Aktorem przywraca Rilke pierwotne ich znaczenie, dla niego to — działający, i w tym sensie każdy jest aktorem na scenie, która go warunkuje, opanowuje, przemienia, że niepoznae innych, *gdyż nigdy nie zdola poznać sam siebie*. Są u niego jakby tylko dusze i tylko ciała, uniezależnione od siebie, nie postaci właśnie, lecz innowymiarowe figury, — jeden z objawów schizofrenij. W drugim zaś znaczeniu: postaci te, jeśli już tak je nazwać, są zarazem i zawsze figuralne w tym znaczeniu, jako o Dawidzie np. mówi się w teologii katolickiej, że jest figurą Chrystusa. Nie prekursorem więc tylko, lecz jakby przedwcieleniem, czemś embrjonalnem, zapowiadającym, ale zawsze już wypełnionem. Dlatego u Rilkego (zwłaszcza w następstwie) tak realne bywają Anioły: to tylko stopień wyższy, świat jutra, złożony z samych Mesjaszów, trzecie królestwo mistyków.

Rilke nie cofa się przed ostatecznemi konsekwencjami swej postawy. Dlatego twierdzić można, iż naprawdę należy on do tych niewielu, którzy, wzięwszy na się ciężar pewnego poznania, sprościli mu bez reszty, którzy poszli za nakazem Ewangelji, mieczem tępiącej letnich i połowicznych, — dle tych, którzy, jak Dante, Michał - Anioł, Szekspir, Mickiewicz, Norwid, Dostojewskij, przetworzywszy siebie — na nowo stworzyli świat, *dali niejako swem istnieniem gwarancję, że istnienie świata jest możliwe*.

3. Nietylko w halucynacji emocjonalnej Rilke jest zwiastunem i poprzednikiem. W ujmowaniu czasu wyprzedza już Prousta. Takie zdanie, np. to zasadnicza postawa ich obu, i podstawa nowej, proustowskiej właśnie, estetyki: „Trzy tygodnie gdzieindziej, naprzykład na wsi, mogło być jak dzień, tu są to lata“. Gdzieindziej w metaforyzmie swym, w dosłowności symbolów, przypomina Rilke... Majakowskiego.

4. Kiedy się czyta wyznania Maltego i pomyśli się, że każdy z jego pokolenia mógł był się niegdyś podpisać pod te bolesne słowa — o ile byłby do nich zdolny — pojmuje się, że to Werther XX stulecia, tylko bardziej jeszcze beznadziejny, najzupełniej już pozbawiony gruntu. Epoka podkopała pod nim przepaść, którą nadarmo pragnie wypełnić sercem, próżno milującym: *gdyż niema już czego miłować*. Tu, jak we wszelkiej młodości, chodzi przecież o sprawy ostateczne (a wtedy wierzy się jeszcze w ich istnienie), o hamletowe pytanie „czy warto“?. Albowiem problem zarówno Werthera, jak Maltego, jest zagadnieniem ogarnienia całości, la totalité, tego, co zwie się dzisiaj modnem słówkiem uniwersalizmu, co jest zatem także najgłębszem chyba zagadnieniem kultury. Ale kultura XX wieku jest antynomiczna i skazuje takich, jak Malte, na powolne samobójstwo. Dzisiaj z nich rodzą się rewolucjoniści czy kondotjerzy — i to jest istotny postęp — wczoraj bezsilni, w płomieniach ucuć spalający się, obląkańcy... W tym sensie możnaby nazwać książkę o Maltem najwyższym szczytem europejskiego romantyzmu — i ostatecznem jego przezwyciężeniem, ukazaniem, że prowadzi w ślepą uliczkę niemocy. Bo nie zapominajmy, że genialność Maltego, który jest alter ego samego autora, jest także genialnością dwudziestotrzyletniego Weiningera, który z rozpaczny „metafizycznej“ potrafił się zastrzelić, *jest paniczną walecznością straceńców*.

5. W książce tej zastosowane są, chyba bezwiednie, wszystkie sposoby i wszystkie gesty niemieckiej romantyki. Raz po raz natrafiamy na demaskację, na sarkazm metafizyczny, na typową „ironję romantyczną“. Ale dzisiaj jest to już kłopotliwe. Znowu przypomina się Nils Lyhne, bezpośredni poprzed-

nik Maltego, jest tu identyczna niemal atmosfera duchowa, tylko, że tam położony jest akcent na dyletantyzm i bezwolę, które są tragizmem całego pokolenia „znużonych dusz“ (Arne Garborg), a tutaj na napięcie, na bezkierunkowy dynamizm, z którego z czasem powstać miał najbardziej niepokojący nihilizm Gide'a.

6. Także „Malte“ jest rodzajem „edukacji sentymentalnej“, ukazującej, tak, jak tamta (Flaubert), że miłość jest niemożliwa, a to, co za nią przyjmujemy, abyśmy nie musieli umrzeć, jest pozorem. Książka ta — to jakby wychowanie ku miłości bezprzedmiotowej, czyli ku świętości. Ale na dnie jej czułkowatości, na dnie tych werystycznych wizyj, czai się panika. I właśnie to, bardziej, niż cokolwiek innego, jest *siguum temporis*.

7. W misteryjności Rilkego, w jego symbolicznym brewjarzu, jest nie tylko anarchizm świętości, ale także pogranicze sekciarstwa: coś, niestety, z Oberammergau, z prowokowania cudowności, z przepysznej dekoracyjności Hoffmannsthala, niema natomiast linii romańskiej, śladu kultury śródziemnomorskiej, której bohaterko służył Nietzsche. To właśnie godzi się z ciemną głąszą romantyki, tem straszliwszej tutaj, tem beznadziejniejszej, że wiecznie czujnej, że przefiltrowanej przez cywilizację, ale zawsze splątanej gdzieś w czarnych korzeniach ziemi, w suplach bez wyjścia, w *magji osobowości*. W tych gobelinowych legendach zawarta jest przedza romantyczna, sam proces nieuchwytnego tkania, każde zdanie potwierdza szekspirowskie zdanie, że „świat jest z materji snu“, ale niema Arjela, któryby wyzwolił, aniołom tym obcięto skrzydła, więc wloką się po „tym padole płaczu“. Jest to żaloba przemijania, czyli wszystkiego, co się staje, co by stać się mogło. To istotnie welt-schmerz najwyższej próby, rozchylone na błysk sekundy kulisy zaświata.

8. Bowiem tragedją Rilkego jest to, iż kosmos jego jest kosmosem jednostki, wyrastającej ponad wszystkie gwiazdy, a one przecie „wydają sąd“. Że ostatecznie wszechświat ten jest zwierciadłem Narcyza. Że zmacone jest zwierciadło, a rzeczy nie są ideami platońskimi, że trwają, że przetrwają nas, mijających, że nie potrafią umrzeć wraz z nami, i wyjść poza przestrzeń i czas, nieśmiertelne, w pustce apoteozy.

9. Rilkego istotnie godziłyby się nazwać genjuszem nazochizmu. Drabinę, którą dźwignął, wsparł o samo dno piekiel, — o rozkosz boleści.

10. Rilke — to największy po Norwidzie poeta gestu. Rozbił szybę, wszystko jest teraz płynne, za chwilę znieruchomieje. To odwaga straszliwa, manjacka, odwaga ucieczki. Jest to agonja nie bogów już, lecz zamieranie ludzi. Jakby wyobrazić sobie szarych, jednobarwnych ludzi Giorgio de Chirico bez twarzy lub z kawalkiem twarzy, poruszających się, przemawiających, a nawet próbujących się uśmiechać nie wiedząc jak, uśmiechem przebudzonych posągów, bezpłodną mądrością stuleci...

STEFAN NAPIERSKI

Poezja zdewałowaa się. Przyczyn tej dewaluacji szuka się wszędzie. Obwinia się przedewszystkiem poetów. Poczęści słusznie. Bo, trzeba przyznać, rozproszona, szukająca nowych dróg, nowych form dla wyrażenia treści psychicznych nowoczesnego człowieka, twórczość poetycka nie może zdobyć się na syntezę, na uderzenie, poprostu, w leb zdezorjowanego, a raczej obojętnego czytelnika. Z drugiej znów strony inflacja tomików i tomiczków, zapelnionych blahemi lirykami, jeszcze bardziej dezorjentuje i zniechęca odbiorcę wrażeń poetyckich.

Istotnych jednak przyczyn dewaluacji poezji trzeba szukać gdzieindziej: w atmosferze powojennej, w atmosferze przewrotów socjalnych i katastrof gospodarczych; w napiętej niepewnością i gotującej się do zmian psychice nowoczesnego człowieka, psychice, pochłoniętej kwestjami bytu materjalnego, rozstrzelonej i oczekującej, gotowej do wchłonięcia najmniej oczekiwanych możliwości i obojętnej (w gruncie rzeczy) na wszystko nowe; psychice, pewnej siebie i dumnej z coraz większej władzy intelektu, a niezdającej sobie sprawy z ważności najdonioślejszych odkrzyć; psychice lekkomyślnej i zdezorjowanej, która jest nawozem pod psychikę przyszłego, nowego człowieka.

Zrozumiała jest rzeczą, że w atmosferze tak odpornej, na wyjałowionym gruncie powszechnej obojętności, twórczość, — która, jak roślina, potrzebuje właściwych sobie soków, żyznej gleby, słońca i ciepła, — nie może się rozwijać. Toteż wszyscy, wydający teraz tomiki poezji, mogliby uważać się za pionierów, wywalczających piędz za piędzią tereny dla przyszłego rozwoju — za pionierów, pełnych tragicznego samozaparcia, gdyby wszyscy byli poetami, gdyby twórczość ich była uwarunkowana koniecznością potrzeby wewnętrznej, dodajmy, potrzeby ważnej i świadomej swoich celów i środków.

Tymczasem, jeżeli łatwo jest ustalić przyczyny inflacji słowa wierszowanego (w ostatnich czasach już nie tydzień, ale dzień prawie każdy przynosi nam nowy tomik tego lub innego debiutanta lub już „uznanego“ poety), — o tyle trudniej wytłumaczyć tę inflację prawdziwą potrzebą, a jeszcze trudniej po przeczytaniu kilkunastu takich tomików znaleźć pośród nich jakieś wartości trwale — jednym słowem, znaleźć poetę, od którego możnaby czegoś, w przyszłości choćby, oczekiwać.

Do inflacji słabej poezji przyczynia się niewątpliwie niechlujny i lekkomyślny do wydawanej książki stosunek niektórych wydawców, których wybo-rem kierują niewiadomo jakie względy, w każdym bądź razie nie względy estetyczne, nie wylawianie talentów, a nawet nie wzgląd na popyt książki. A, ostatecznie, jakże ma się zorjentować w tej powodzi dobrych i złych tomów poezji przeciętny czytelnik, jeżeli prasa codzienna nie zajmuje się prawie wcale kwestjami literackimi (nie mówiąc już o poezji); skwapliwie zato zajmuje się skandalami literackimi, a raczej je wywołuje.

Mimo swoich ciemnych stron, nadprodukcja tomików wierszy przeciętnych i poprawnych nie jest jednak zjawiskiem, z powodu którego trzeba aż bić na alarm i wolać o kryzysie słowa wierszowanego, jak tego chce wielu ludzi,

szczególnie prozatorów, czasem wybitnych¹⁾). Zawsze, i w poprzednich epokach literackich, ukazywało się mnóstwo książek niepotrzebnych, przypadkowych — o których teraz pies z kulawą nogą nie wie, chyba, że ktoś wyciągnie od czasu do czasu jakiś wyjątek, jako curiosum.

Współczesnych producentów tomików wierszy możnaby podzielić na kilka kategorii. Pierwsza — to prawdziwi poeci, zdobywający talentem i usilną pracą własny wyraz. Druga — to literaci lub nieliteraci, często o dużej kulturze, którzy, nie orjentując się w swoich możliwościach, biorą się za pisanie poezyj: ci łatwo poznają swój błąd i kierują działalność na inne tory. Do trzeciej kategorii zaliczyłbym autorów tomików, wydanych chyba ku ucieszeniu bliższych i dalszych krewnych, — oraz upartych grafomanów. Właściwie nie powinno się pisać o książkach, jakie zaliczyłem do ostatniej kategorii, a jednak należy wzmiankować o nich choćby z tego względu, że często ukazują się w wydawnictwach, obejmujących, bądź co bądź, i sporo dobrych książek poetyckich, przez co psują rynek książkom dobrym. Dwa takie rozbrajająco grafomańskie tomiki poezji ukazały się ostatnio w Bibliotece Poetyckiej F. Hoesicka. Są to: „Pieśni Słowianina“ — Miłosza Gembarzewskiego i „Wiosna i lato“ — p. Marji Znatowicz - Szczepańskiej.

„*Pieśni Słowianina*“ — *Miłosza Gembarzewskiego*. Warszawa, 1930, pisane są z tupetem i patosem, siłą się na rozmach i pozwalają wyciągać najsmutniejsze wnioski o uzdolnieniach autora. Niech strofy, wyjęte na chybi - trafi, mówią same za siebie. Z wiersza p. t. „Pas lity“:

„Więc piękno w nim swoje ujrzaly i pole i łąka i las.
A bodaj każdy z nas w życiu choć jeden raz,
Stroił się w lity pas, w dumę bez plam i zmas“.

Lub z wiersza p. t. „Lechita“:

*On wtórzyć nie będzie dnia swatów, spyszniałych w prywaty brzmień złość.
Bo w step uśmiechniętych ogrodów się wryła piszczelem kość,
Gdy hetman, pół król Kalinowski, sam zginął nad ciemnym Batohem...*

(podkr. moje).

„*Wiosna i lato*“ — *Marji Znatowicz - Szczepańskiej*. Warszawa, 1930, zawiera moc osobistych zwierzeń autorki, które nikogo nic nie obchodzą. Poza tem, bardzo w nim dużo kropek - myślników. Niewiadomo tylko, czego się domyślać. gdyż wszystko w tej książeczce jest banałem, podanym w banalnej formie.

Przykłady na chybi - trafi z wiersza „Ból młodości“:

„Co ja mam swego, Boże mój,
Co ja mam swego w świecie?...
...Tych harwnych marzeń zwiewny rój
Tych marzeń, które, Boże mój,
Wiatr pierwszy zmiecie?...“

(Oj, zmiecie, zmiecie!)

¹⁾ Vide artykuł Kadena-Bandrowskiego w Nr. 12 b. r. „Wiad. Lit.“. Możliwoby zwrócić Kadelowi uwagę, że wynoszona przez niego na wyżyny jedyne go rodzaju literackiego, który nazywa aż „spelnieniem“, proza, też w pewnych kolach uważana jest za rodzaj literacki, znajdujący się w stanie „rozkładu“ i „skazany na zagładę“. (Mies. Lit. Nr. 4 — Bankructwo wielkiej powieści niemieckiej — F. C. Weiskopf).

Z wiersza „Orlęta“:

„Krzyknęli: pójdziem w bój!

Dolo, niedolo...

I poszli, poszli w świat,

Rzucili progi chat,

przed nimi — Boże mój!

nieludzki, krwawy znój:

Oni to wola...“

Dwie książki, o których dopiero co mówiłem, to grafomanja rozbijająca, dla której czuje się jakąś tkliwość, wynikającą z przyzwyczajenia: tyle się przecież takich wierszyków czyta, przeważnie w rękopisach, częściej w „Kurjerze Warszawskim“ lub „Codziennym“. Ale są książki, które zręcznym werbalizmem, frazeologią z dziesięciu rąk wziętą, usiłują zamaskować beznadziejną pustkę intelektualną i uczuciową. Śmiało można je zaliczyć do poprawnej grafomanji, grafomanji udrapowanej w romantyczny płaszcz i zamaskowanej. Mam na myśli nowy tom *Romana Kolonieckiego* — „*Kosodrzewina*“ — Nasza Biblioteka, Warszawa, 1930. Zbiorek stoi pod znakiem Lechonia i nie byłoby w tem nic złego, że poeta, świadomie czy nieświadomie, uległ wpływom dobrego poety. Niestety, forma, wyuczona na Lechoni, jest przykrywką, pod którą nie kryje się, dosłownie, nic. Wiersze obrazują jakieś nieskrystalizowane, zakłamaną pustym werbalizmem, nieszczerze nastroje erotyczne. Gdybyż w tem była erotyka, ale nawet erotyki niema: poprostu letnia woda, rozlana do tandetnych flakoników. Akcesorja poetyckie, konstrukcja, rozkład point, nawet składnia — wzorowane na „Srebrnym i czarnym“ Lechonia. Ale większość zdań najwyżej nic nie znaczy, ani logicznie, ani nastrojowo. Jeżeli w niektórych obrazach, czy przenośniach pulsuje trochę krwi — to zawartość metaforyczna tych chwytów poetyckich nie wykracza poza banalne, obiegowe, wytarte już akcesorja, cechujące przeciętność poezji współczesnej. Bezwolność myślenia, werbalizm, mechaniczne formowanie zdań sprawiają, że aforyzmy Kolonieckie nie mają żadnego logicznego ani życiowego pokrycia. *Przykłady*:

„Samotność nie jest śmiercią, śmierć nie jest spokojem“.

lub „Łzy snem odczarowała jesienna woń mięty“. (Co to znaczy?).

lub „Ta miłość jest bolesna, jak róża ponsowa,
ile że równa pysze i równa pokorze“.

Pointy typowo Lechoniowskie w nastroju. Np.:

„Bo zdrada mnie przeklina i ty mię potępiasz.
idącego do raj, zamiast iść do piekła“.

(Osamotniony ogród).

„Odgadłem twą obecność! Wiem, że z Tobą jestem.
lecz nie możemy skończyć zaczętej rozmowy“.

(Wieczorny gość).

Pustka wewnętrzna sprawia, że nieraz autor, zamierzając poważnie, mimo woli pisze parodię. Taki jest np. początek wiersza „Wczorajszy wieczór“, choć i cały wiersz nie trzyma się kupy:

„Jeżeli myśl ma ciało, — tyś ciałem mych myśli.

Pozasłaniałem okna w ciemnym, pustym domu,

aby ci to powiedzieć (— minęli już, — wyszli...)

aby ci to powiedzieć (— nocą — pokryjomu —)“

Czy to pies, czy to bies?

Sądę, że najwięźlejszym i najwięcej mówiącym wierszem w tym tomie jest spis rzeczy, bo reszta jest przelewaniem z pustego w próżne.

Werbализm, snobizm duchowy, pustka uczuciowa i myślowa, i najmniejszy z tych grzechów, epigonizm—oto jak można streścić wrażenie z „Kosodrzewiny“.

Tym samym nakładem, w takiej samej szacie zewnętrznej, jak „Kosodrzewina“, ukazał się tom debiutującej poetki *Henryki Łazowertówny* — *Zamknięty pokój* oraz *Kazimierza Sowińskiego* — *Gwiazdy na strychu*. — Nasza Biblioteka, Warszawa, 1930.

Tomik Łazowertówny jest najlepszym z trzech. Duża doza młodzieńczej żarliwości w stosunku do poruszanych zagadnień, bezpośredniość i szczerść sprawiają, że debiut można uważać za udany. W pierwszej części zawarte najbardziej wartościowe wiersze, oparte na wzruszeniach, głęboko wyżytych i przetrawionych (Nekrologi, Modelka, Stara Panna, Kopciuszki, Wiosna pensjonarek). Sposób podejścia do zjawisk — kobiecy, z nadmiarem egzaltacji i sentymentalizmu. Sposób konstruowania niektórych wierszy, jak Stara Panna, wskazywałby, że autorka ciąży do prozy. Widocznie ma jednak za mało obserwacyjnego materiału — i opracowuje tematy w wierszach, zwięzłych zresztą i szczerych. (Ze Starej Panny mogłaby być dobra nowela). Obrazowanie śmiałe, niebanalne i niewyszukane — sprawia, że w wierszach jest dużo świeżości, mimo drobnych naiwności w podejściu do tematu. Wiersze, zawarte w drugiej części (Jack London, Dmuchawce, Wokulski), oparte na przeżyciach wtórnych, przeżyciach z lektury, są jakby sprawozdaniem z pracy autorki nad formą, ale nie świadczą o samodzielnej pracy wnętrza, widzącego i kształtującego rzeczywistość. Pozostałe dwie części zawierają liryki różne. Wiersze te nie należą do najlepszych. Są niejasne w nastroju, niezdecydowane, o banalnej, nieraz wyświechtanej metaforyce. Krzyżują się w nich różne wpływy (Illkowicówna, Broniewski). Niektóre zdają się być napisane bez mocniejszej wewnętrznej potrzeby, po prostu celem wyrzucenia pewnego balastu słów. Np.: „Wieczór“, gdzie „gwiazdy milczą stalowe i ciężkie, stupodową nabrzmiałe tęsknotą“, „księżyc bezmyślnie się pali, jeszcze pełźnie osłabły i chory“ i t. d. Ostatnim wierszem zapowiada Łazowertówna „Rozbrat z poezją“ — krzycząc życiu „gromkie — witaj — chropawą, kamienną prozą“.

Tomik Kazimierza Sowińskiego „*Gwiazdy na strychu*“ przynosi wiersze niedojrzałe, niesamodzielne. Obrazowanie, mimo usiłowań autora w kierunku oryginalności, banalne, zapożyczone, może nieświadomie, od poetów o silniejszej indywidualności. Akcesorja poetyckie — obiegowe. Metafory często ludząco przypominają innych poetów. Np. w wierszu „Robotnicy“, zdanie: „A może Bóg się zmiłuje i łańcuch przyjdzie zerwać?“ — przypomina Piechała — „A może przyjdzie lekarz z Kasy Chorych, może zmiłuje się Bóg“; lub „Wachlarz z drzew się na czole chłodnym rozłoży liściem“ — Piechał: „Bóg.. na sercu: pęknięciem położy gałąź z nieba z owocami gwiazd“. Wiersz, otwierający tom Sowińskiego ideologją, kompozycją i budową stroficzną, przypomina wiersz Piechała, otwierający tom „*Krzyk z miasta*“. W tomiku niema ani jednego bodaj samodzielnego wiersza: każdy na tle innego poety — to Piechał, to Lechoń, to Rydzewska. Czy też p. Sowiński, oprócz poetów grupy Skamander i Kwadryga, nic nie czyta?

Nie wiem, co zdopingowało zdolnego essay'istę i krytyka, *Jana Emila Skiwi-*

skiego, do wstąpienia w szranki poetyckie przez wydanie utworów. nazwanych przez autora „peregrynacjami“. (*Człowiek wśród potworów*, F. Hoesick, 1930). Chytrze przez autora zwane „peregrynacje“ — to rytmizowane i zaopatrzone w rymy notatki, przelotne myśli, satyrycznie i groteskowo traktowane nastroje, szkice portretowe i zdarzenia. Groteskowo - satyryczna maska stylu, sposób podejścia do tematu przypominają wiersze drobne Słowackiego z ostatniego okresu twórczości, takie jak: „Przy kościółku, mój aniołku“... Wiersze Słowackiego są jakby wytnieniem na marginesie wielkiej twórczości, a peregrynacje p. Skińskiego — podane w wielkich dawkach plecienie „trzy po trzy“ — robią wrażenie nowoczesnego ks. Baki. Niektóre z tych utworów robione są „pod Boy'a“ ze Słówek, — ale bez jego lekkości, swobody i finezji w podejściu do rzeczy. Satyra Skińskiego jest wypracowana i nieszczerza. Jest kilka ciekawych wierszy w cyklach: Płomienie na śniegu i Z Sennika. Niebanalne — erotyki, jak Dwór pusty, słowa będą gorące. Dobre — zatracające o sferę podświadomości wiersze „Z sennika“. Ale i w nich bruzdzi „bakizm“, nprz.

„i mówią, że: koniec!
śmierć — myk za piec!“

Jerzy Braun wydał retrospektywny tom poezji, z lat 1925—27, *Ziemia i niebo*. (F. Hoesick, 1930), który dość wyraźnie obrazuje kształtowanie się indywidualności poety. W wierszach z r. 1925 widać jeszcze niezdecydowanie w doborze tematów, nieopanowanie techniki. W następnych latach odbywa się rozwój i zdobywanie wyrazu dla sprecyzowanych treści wewnętrznych. Forma wypowiedzi Brauna — ciężka, przeladowana metaforyką, nadmiarem epitetów, aliteracjami spółgłoskowymi. Zagadnienia treści obracają się w kole niejasnej ideologii metafizyki kosmicznej, — metafizyki, przepozonej fatalistycznym pesymizmem. Nadmiar nieświadomych treści psychicznych rozsada pomysły, daje chaos doznań i wrażeń. Dla wyrażenia patosu kosmicznego poeta często operuje trochę naiwną przesadnią. Naprz. z wiersza „Proza“:

„...od ciosów jej miasta się chybocą...“
„...kwiat olbrzymi, większy od słońca sto razy“.
„...W studniach otchlanych książek“...

Odnosi się wrażenie, że nad intelektem poety ciąży nieświadomiona, nierozstrzygnięta rzeczywistość współczesna i ona właśnie prowadzi go na błędne ścieżki kosmicznej metafizyki. Metafizyczność owa wypływa też z negatywnego stosunku autora do cywilizacji, z obawy przed potęgą nieujarzmionej przyrody, gotującej niespodzianki. W wierszach z r. 1927 osiąga już Braun harmonję treści i formy, obracając się w zakresie tematów, ograniczonym swoistą idologją.

Dobre wiersze: Przyroda, Dom, Dziwna noc, Ziemia, Kosmogonja. Pozwalam sobie zacytować strofę z wiersza „Dziwna noc“, bardzo piękną, a charakterystyczną dla wierszy poety z r. 1927.

„Szła siwa, mglista noc, jak koń olbrzymi
w wilgotnym czapraku gwiazd...“ i t. d.
„Szła siwa mglista noc z długą obwisłą grzywą
i czworo mokrych kopyt wdrażała milczkiem w piach —
jak wylupiastych ocz chłodno - łykliwie szkliwo
wyrzucił się napoły z topieli mrocznych strach“.

Tomik *H. Januszewskiej, Dom na wyspie. (F. Hoesick, 1930)*, nastrojowo i formalnie jest małą syntezą przetrwawionej przez autorkę polskiej poezji skamandrowej. Autorka nie jest jeszcze skryształizowaną indywidualnością poetycką. W stylu, składni, nastrojach, poczęści i tematach odhrzmiewają tony różnych poetów. Nie mówię o bezkrytycznym otwarciu na wpływy, chcę tylko zaznaczyć, że skutkiem nasycenia poezją współczesną, autorka, zajęta pracą nad formą, nie zdążyła znaleźć swojej najprostszej drogi wyrazu. Dlatego treści i tematy wierszy nie mają zdecydowanie zarysowanych konturów: istnieje ciężenie ku lirycznej dowolności. W tematach, branych po malarsku, odzywają się czasem zagadnienia wstrząśnień społecznych, ale ujęte gobelinowo, jakby ze starych sztychów (Kawiarnia, Robotnicy). Bardzo ładny wiersz „Konic” w pierwszej części, w drugiej — słaby. Ładne: *Baldy o złodzieju i Ali Babie*. 5-ta część tomiku, pisana pod auspicjami *Ilakowiczówny i Pawlikowskiej*, nic nam nie mówi o autorce.

Ogólne wrażenie: tomik kulturalny i czysty formalnie.

Najlepszym z wszystkich tomików poezji, jakie ostatnio ukazały się na rynku jest „*Dzień jak codzień*” — *Józefa Czechowicza. (F. Hoesick, 1930)*.

W tomie tym Czechowicz pozostał takim, jakim był w *Kamieniu*; nastąpiło tylko pogłębienie stosunku do poruszanych tematów, ujednostajnienie i wysubtelnienie ogólnego tonu, ale, zdaje się, zniknął młodzieńczy, entuzjazmem zaprawiony, rozmach, który cechował *Kamiień*. Wiersze Czechowicza są czemś nowym i bezpośrednim w polskiej poezji. Są to wiersze o wnętrzu. Treść ich, obejmująca jaknajwiększy zakres rzeczywistości, analizująca tę rzeczywistość nowoczesną, jest ciąglem szperaniem w podświadomości, a wyraża się w formie obrazów, nakładanych na siebie i powstałych na gruncie głębokich skojarzeń, trudnych nieraz do usprawiedliwienia, oddalonych a jednak prawdziwych. Nagromadzenie przekrojów wrażeń wzrokowych, umetaforyzowanych, prowadzi czytelnika coraz to inną drogą do celu; autor co pewien czas wraca do punktu wyjścia, ażeby rozpocząć nanowo poszukiwania przez inny kompleks skojarzeń. Nadmiar przeintelektualizowanych doznań zmysłowych, oraz usiłowanie ścisłości w oddawaniu tych doznań, nadaje wierszom jakąś cechę epickości. Przemaga liryzm jednak, a nawet czasami sentymentalizm. Zagadnienia poruszane przez autora można ściągnąć do usiłowań pochwycenia prawdy, istoty rzeczy, jej wnętrza, skomplikowanego w psychice, i odbicia takiego obrazu załamane go i przefiltrowanego przez wieloboczny pryzmat. Takim charakterystycznym i bardzo pięknym utworem jest wiersz „*Wąwozy czasu*”, w którym autor usiłuje zsumować wysiłki poszukiwania dróg w podświadomości, skomplikowane przez doświadczenie rozwojowe człowieka od zamierzchłej przeszłości, która w nas żyje, aż po dzień dzisiejszy. Podejście — od strony intuicyjnie nastrojonego uczucia. Zakończenie wiersza nie jest pozytywne. Brzmi jak pytanie i wątpliwość: zagadka nie została rozwiązana.

„wizje nie nasycają są zawilim haftem
czy z tego alfabetu co będzie odczytam
pocóż czytać i tak wiem chyba to jest prawdą
pytania odpowiedzi brzmią jak odpowiedzi pytań”.

W ostatnich wierszach tomu widać zwrot w twórczości poety ku bardziej rytmicznej, miarowej formie, i jasnej konstrukcji.

Forma wypowiedzi Czechowicza każe obawiać się manieri (nie się przecież nie zmieniła od czasu „Kamienia“). Łatwo zrozumieć przyczynę wyeliminowania znaków przestankowych przez autora, ale nie widzę konieczności tego. Tom czystej i prawdziwej poezji.

Patykiem po niebie i Z pod arkad wileńskich, 2 tomiki, wydane nakładem *Sekcji Twórczości Osobistej, Koła Polonistów U. B.*, nie przynoszą rewelacji, odkryć. Są sprawozdaniem z wewnętrznej działalności sekcji. U wszystkich poetów, drukujących w tych tomikach, widać dobre chęci, ale trudno na podstawie dobrych chęci mówić o talencie. Wstępne kroki — może nieumiejętnie stawiane. Jedyne wiersze Teodora Bujnickiego znamionują talent i dużą kulturę wersyfikacyjną, choć są jeszcze niedojrzałe. Obok śmiałych i świeżych chwytów poetyckich, znajdujemy u niego banalne, metody obrazowania. Naprz.

„Tańczy na promieniach świtezianek harem“.

lub „tan zmęczonych faunów, najad szmerna chór“. Bardzo dobry wiersz — to Nieznany Robotnik i Port. Ostrzeżeniem powinno być dla poetów wileńskich szczere wyznanie T. Bujnickiego:

„Coraz łatwiej jest mi wiersze pisać,
opowiedzieć, co mię cieszy, wzrusza —
— coraz głębiej pęka czarna rysa
w duszy?“

To samo, co o poetach-studentach, można powiedzieć o „*Plonącym domu*“ (Wilno, 1930) Jadwigi Wokulskiej. Zastraszająca łatwość pisania i uchylenie się od pokonywania oporów, a stąd banalność.

Jalu Kurek — Śpiewy o Rzeczpospolitej, powinien pisać tylko manifesty poetyckie, bo w nich zawiera się więcej poezji, niż w jego wierszach. Manifesty są szczere, wyrażają wiarę autora, a wiersze, oparte na doktrynie manifestów, martwe i „robione“, ani nie wypełniają wskazań programowych poety, ani nie potwierdzają jego teorii. Przecież nikogo nie rozentuzjazuje swym sztucznym i naciągającym patosem wierszowany Apellotniczy, ani hymn o pożyczce amerykańskiej. Znacznie większe wrażenie robi na przeciętnym obywatelu zwyczajna agitacyjna ulotka, sucha, jasna, przemawiająca do intelektu, lub artykuł gospodarczy w dzienniku, który logiką dobije wiersz p. Jalu Kurka. W Nr. 7 *Europy*, Jalu Kurek znów drukuje manifest p. t. *Zmierch natchnienia*. No, natchnienie można mu jeszcze darować. Ale jak sobie wyobraża poezję mówiąc: „Poezja jest funkcją, służbą, rzemiosłem społecznym i wolno w niej tyle tylko przemycić t. zw. indywidualności, ile jej posiada krawiec, robiący nowe ubranie“. Wynikałoby z tego, że z poezją ma być tak: robi się modę na wiersze o zgóry oznaczonej formie (powiedzmy, 5 strof 4-wierszowych) i temacie (powiedzmy — dojne krowy na pastwisku), a potem wszyscy poeci na gwałt fabrykują wiersze o krowach. A któż te wszystkie krowy wydoi, chciałem powiedzieć, przeczyta, jeżeli nawet na „indywidualistyczną“ poezję niema zbyt wielu amatorów. Stanowczo, p. Jalu Kurek chciałby, żeby wierszy, jak marek z czasu inflacji, było coraz więcej i coraz tańszych, żeby zalały Polskę, zatopiły, żeby wszyscy byli poetami. I tak tomiki banalne zalewają rynek. Nie trzeba aż manifestów.

Władysław Sebyla

Omawiając twórczość poetycką Jarosława Iwaszkiewicza, powiedziałem niegdyś, że jest to talent, który ma przed sobą dużą przyszłość. Autor pięknej książki „Legendy i Demetr“, Iwaszkiewicz, pozostawał dla wielu czytelników pisarzem zagadkowym, mimo szeregu wydanych zbiorów wierszy i tomów prozy. Iwaszkiewicz, wybitny stylista i dobry stylizator, ma za dużo do powiedzenia, aby wypowiedzieć się do końca w utworach, wydanych poprzednio. To też nowa powieść jego, o objętości pięciuset stron druku, powinna zwrócić uwagę. Przyczyn ku temu mamy dużo.

„Zmowa mężczyzn“. Jednakże główną bohaterką powieści jest Alinka, przeciętna kobieta z Kielc, jakich dużo spotykamy na szerokim świecie, nie zauważywszy, omijamy, obojętni dla ich tragedjy osobistych tak samo, jak współcześni Flaubert'a nie zwracali uwagi na tysiące żywych Bovary, dopóki ten obraz zbiorowy nie został wykryty przez wielkiego romansistę. Na tem właśnie polega wartość dzieła prawdziwej sztuki, że twórca odzwierciedla życie same, nie mając nie na celu, prócz tego, aby pozostawać szczerym i prostym. Nawet taki wybitny krytyk literacki, jak Leon Piwiński, zaskoczony został tą szczerością i prostotą Iwaszkiewicza, omawiając „Zmowę mężczyzn“ na łamach „Wiadomości Literackich“ (Nr. 6 z r. b.):

„Pod względem budowy i techniki (mówi p. Piwiński) epickiego przedstawienia rzeczywistości: (powieść ta) jest utworem raczej słabym“. Dodamy do tego zdania p. Piwińskiego, że wynika to ze zrozumiałej przyczyny: opowieść przerasta zamiary stylizatorskie; Iwaszkiewicz kierował się swoją „voix intérieure“ i dlatego „voix intérieure“ utworu jego jest nader nieskomplikowana i prosta.

Alinka pragnie szczęścia, do którego każdy człowiek ma prawo. To jest podstawą życia, ale urzeczywistnienie tego prawa staje się tragedją, którą rozwiązać potrafi tylko śmierć. Innej drogi niema, ponieważ los narzuca tej, nieszczęsnej Alince bohatera w postaci Władka Sawickiego, kochającego Reginę. Przeciętny chłopak, Władek nie jest okrutnym, postępując okrutnie; robi raczej wrażenie głuptaka, którego starzejąca piękność, śpiewaczka Regina, łatwo żeni z pasierbicą swoją, Alinką. Na półgodziny przed ślubem ojciec Władka dowiaduje się o wszystkim, ale nie radzi synowi zerwać z narzeczoną, przecież jest zapóźno, biskup będzie czekał w kościele, grozi to skandalem. Tak rozpoczyna się kalwarja życia nie wiedzącej o niczem Alinki, którą życie oszukuje. To też wszystko zostaje ukryte przed Bogu ducha winną dziewczyną, rzewnie zakochaną; tak zawiązuje się „zmowa mężczyzn“, polegająca na kłamstwie. Co się kłamstwem zaczyna — powinno się kłamstwem skończyć. I tylko na chwilę przed śmiercią odczuwa Alinka głębszą istotę tego kłamstwa, mówiąc Władkowi o tem, że mężczyźni zmówili się pomiędzy sobą, aby niepokoić świat szukaniem prawdy, tworzeniem religij, poświęcaniem się, sztuką. A kobiety wiedzą, że trzeba pozostać w ciszy i zatrze się wtedy

granica pomiędzy życiem a śmiercią, ponieważ „jest tylko sen. Sen doczesny... i wieczny“.

Proste słowa umierającej Alinki stają się okrutnym aktem oskarżenia dla mężczyzny, postawionego przed sąd kobiety. Przecież mężczyzna pozostaje i pozostanie nazawsze twórcą życia, odpowiedzialnym za wszystko, nie zważając na współczesną „garçonnerie“, „równouprawnienie“ i t. d., tak, w gruncie rzeczy są to przeciętne bzdury, ponieważ życie pozostaje silniejsze od kaprysów i wybryków ludzkości. Kobieta ma prawo żądać od mężczyzny, aby znalazł w sobie siły torowania drogi w życiu obok niej, ręka w rękę, aby nie był barankiem, zanoszącym się od płaczu histerycznego na półgodziny przed ślubem, nie wiedzącym, co ma robić! A jednak Wladek pozostaje w błędnym kole, dopóki, wskutek wypadku samochodowego, nie uderzy głową o szosę i nie ocknie się z głupoty swojej, aby potem... nadal uciekać od żony, od ogniska i tulać się niewiedząco w jakim celu na obczyźnie w Paryżu, marnując życie swoje i zabijając kochającą go Alinkę.

Ta prawda życiowa, w przeciwieństwie do mieszczańskiego kłamstwa „zmony mężczyźni“ jest jasna i prosta, jak ołówek. Jednakże ludziska chronią się przed nią, stwarzając z życia idjotycznie - tragiczny nonsens. A w nonsensie tym giną dusze ludzkie. Na to nikt nie zwraca uwagi; nawet Wladek nie może wyjść ze swojej tępoty, aby odnaleźć prawdę, do której tak łatwo sięgnąć przeciętnym rozumem przeciętnego człowieka.

Swoją „comédie humaine“ oparł Iwaszkiewicz o dwadzieścia dwie postaci. Miał rację, bo inaczej nie byłby w stanie udowodnić tego wielkiego nonsensu życia o cechach wybitnie - słowiańskich. Nie będą tych postaci wyliczał lub charakteryzował. Uczynił to autor, i warto czytelnikowi zrobić wysiłek umysłowy, i uważnie przeczytać pięknym językiem napisane pięćset stron powieści. Ale na najwięcej uwagi zasługuje dziennikarz Kurek, który zostaje księdzem. Postać typowa, o nieprzeciętnej indywidualności, poszukująca prawdy w życiu. Kurek pragnie instynktownie naprawić krzywdę Alinki miłością swoją. Przemawia do niej w martwym tonie pociechy kościelnej, odczuwając kłamstwo tych martwych słów i rozumiejąc, że naprawić wielką krzywdę bohaterki może tylko śmierć - zbawicielka. Religja, jako czyn bohaterski, staje się dla Kurka wyjściem z błędnego koła nonsensu życia.

Inna postać powieści Iwaszkiewicza — pianista Tadeusz Szmít — na szerokiej drodze sławy światowej spotyka się z wszechmogącą nudą, polegającą na zmechanizowaniu gry pianistycznej. Ale postać pianisty toruje autorowi drogę do analizy doznań pianistycznych bohatera. Ma to wartość „an und für sich“, tem bardziej, że niewielu pisarzy stawiało sobie za cel analizę tych nieuchwytnych, subtelnych przeżyć. Autor zdradza swój własny talent muzyczny, zamiłowanie do muzyki.

Nareszcie powinniśmy podkreślić jeszcze jedną stronę dodatnią „Zmony mężczyźni“, a mianowicie: z prawdziwą umiejętnością odtwarza Iwaszkiewicz życie nie tylko ubogich Kielc, lecz i „stolicy świata“, Paryża (naszych czasów powojennych), niezdrową powojenną psychikę aferzystów, atmosferę bezczelnego kłamstwa i oszustwa. Autor nie tylko doskonale zrozumiał ten „amerykano - europeizm“ współczesności, lecz jaskrawo ujął go w utworze swoim, wyświetlając podłoże psychologiczne. Z drugiej zaś strony, sprzątnąwszy bardzo umiejętnie Reginę, autor nie uzasadnił należycie dalszego pobytu Władka

w Paryżu, który jest w gruncie rzeczy bezcelowy, raczej niezrozumiały. Za-
lużno też związane zostały poszczególne epizody powieści, tem bardziej ze
względu na tak obfitą liczbę postaci, która utrudnia orientację.

O stronie technicznej „Zmowy mężczyzn“ możnaby powiedzieć dużo: prze-
cież autor jest doskonałym stylistą. Ale byłoby to tematem innego, obszernego
artykułu. Pod każdym względem nowa powieść Jarosława Iwaszkiewicza za-
sługuje na uwagę, jako wybitne, wyjątkowe zjawisko w prozie współczesnej.

Sergjusz Kulakowski

PRO DOMO SUA.

Przed paru tygodniami ukazały się na półkach księgarskich następujące ksią-
żki członków grupy poetyckiej „Kwadryga“:

Józefa Czechowicza, *dzień jak codzień*, poezje, F. Hoesick, Warszawa 1930.

Marjana Piechala, *Rozmowy o pacyfiźmie*, wywiady z Broniewskim, Hulką-
Laskowskim, Słonimskim, Wittlinem, Peiperem, z przedmową E. Szürera, War-
szawa 1930.

Włodzimierza Słobodnika, *Nowa Muza*, poezje, F. Hoesick, Warszawa 1930.

Władysława Sebyły, *Pieśni Szczurołapa*, poezje, F. Hoesick, Warszawa 1930.

Andrzeja Wolicy, *Młoty w dłoniach*, poezje, Warszawa, 1930.

W najbliższym czasie ukaże się nakładem księgarni F. Hoesicka tom wierszy
K. J. Gałczyńskiego pod tyt. *Portret panny Noël*.

W dn. 23 marca 1930 r., na zaproszenie Związku Literatów Wileńskich, wy-
jeżdżali do Wilna Dobrowolski, Maliszewski, Sebyła na wieczór autorski grupy
poetyckiej „Kwadryga“. Poci Kwadrygi doznali w Wilnie serdecznego przyjęcia.

Dłuższe recenzje o grupie literackiej „Kwadryga“ ukazały się w prasie kra-
jowej w Słowie Wileńskim (Wilno) pod tyt. *Pędząca Kwadryga*. — J. Wysz.,
w Tygodniku Ilustrowanym (Warszawa) — K. Czachowskiego, w Słowie Pol-
skim (Lwów) — T. T.; w zagranicznej zaś w „Pologne“ (Paryż) — Marji Ka-
sterskiej, w „Germania“ (Berlin) — Otto Forst Battaglia, w „L'Europe Cen-
trale“ — Marji Kasterskiej.

KSIĄŻKI I CZASOPISMA NADESŁANE.

Jerzy Wyszomirski, *Niewczesne*, poezje, Wilno, 1930, str. 66+2 nl.

Witold Juljusz Kapuściński, Edwin Herbert. *Hinduski Sen*, Poznań 1930,
str. 61+3 nl.

Marjan Piechal, *Rozmowy o pacyfiźmie*, wywiady z przedm. E. Szürera,
Warszawa 1930, str. 74+2 nl.

Mieczysław Braun, *Sygnal z Marsa*, słuchowisko radjowe, Warszawa 1930,
str. 73+1 nl.

Jan Szczawiej, *Miłość Tworząca*, poezje, okładka B. Surało, Warszawa 1930,
str. 68+4 nl.

Jerzy Mieczysław Rytard, *Bal jesienny*, nowele, Warszawa 1930, str. 203+3 nl.

Wikna (Okna), miesięcznik literacki Nr. 3, Lwów 1930, str. 72.

Miesięcznik literacki, Nr. 5, Warszawa 1930, str. 54.

Stefan Napierski, *Ziemia wolna*, poezje, Warszawa 1930, str. 81+1 nl.

Jerzy Liebert, *Gusła*, Warszawa 1930, F. Hoesick, str. 80+2 nl.

POPZREDNIE NUMERY „KWADRYGI“ ZAWIERAJĄ:

Nr. 1. Wiersze: *Wł. Sebyły* — Spowiedź szczurołapa, *Sztab, Konst. J. Galczyńskiego* — Drzewo, Ballada na śmierć motyla, *Włodzimierza Słobodnika* — Ballada o poecie i pegazie, *Niny Rydzewskiej* — W trupiarni, Na okręcie. *St. Ciesielczuka* — Mądrość życia, *A. Maliszewskiego* — Wiersz o nerwach, zmęczeniu i tęsknocie, *A. Wolicy* — Listopad, *S. Flukowskiego* — Lament handlującego, *St. R. Dobrowolskiego* — Ojcu. Proza: *St. Turowskiego* — Sąd nad nocnymi ludźmi, Artykuły, recenzje. Wkładka: drzeworyt *J. Kulisiewicza*.

Nr. 2. Wiersze: *K. J. Galczyńskiego* — Koniec świata, poemat buffo, *A. Maliszewskiego* — Wiersz o ulicznym sprzedawcy balonów, *W. Sebyły* — Fabryka, Tylko raz..., *L. Szenwalda* — Dancing, *Wł. Słobodnika* — * * * *St. R. Dobrowolskiego* — Pod miedzianym księżycem, Gody św. Marchołta. Godzina rozpoczy, Moja modlitwa, *M. Markowskiego* — Pieśń umierającego malarza, *Andrzeja Wolicy* — Więźniowie. Proza: *S. Flukowskiego* — Opowiadanie Rozmiara, *J. Sobczaka* — Matka. Artykuły, recenzje. Drzeworyt — *F. Topolskiego*.

Nr. 3—4. Wiersze: *L. Szenwalda* — Ku czci filologa, *Wł. Słobodnika* — Widzenie Jakóba, Sen, Samotność, *K. J. Galczyńskiego* — Portret panny Noël, Raj, *Wł. Sebyły* — Panopticum, *St. Ciesielczuka* — Manekiny, *St. R. Dobrowolskiego* — Wezwanie, *A. Wolicy* — Miłość, *S. Karpińskiego* — Sonet banalny. Proza: *S. Flukowskiego* — List dwunasty, *Zb. Uniłowskiego* — Stary Zegar, *Cz. Straszewicza* — Na śniegu dojrzewa ryż. Artykuły: *T. Peipera*, *Wł. Bieńkowskiego*, *E. Szürera*. Akwaforta *L. Nadelmanówny*.

Redaktor i Wydawca: WŁADYSŁAW SEBYŁA

Czcionkami Drukarni Krajowej w Warszawie. Chłodna 44. Telefon 188-70.

E R R A T A

<i>str.</i>	<i>zamiast:</i>	<i>powinno być:</i>
148, w tytule	jaki użył	jakiego użył
160, wiersz 11 od dołu	mrowiem	mrozem
160, „ 6 „ „	strach	słuch
161, „ 13 od góry	przyszłością	przyszłości
163, „ 7 „ „	senni	sami
163, „ 16 „ „	zamarłą	zamarzłą
193, „ 1 „ „	Laurdisa	Lauridsa
197, „ 9 od dołu	nazochizmu	mazochizmu
201, „ 22 „ „	Hłkowieówna	Hłakowiczówna

BIBLIOTEKA
K W A D R Y G I

STANISŁAW CIESIELCZUK
PIES KOSMOSU
POEZJE

STANISŁAW R. DOBROWOLSKI
POŻEGNANIETERMOPIL
POEZJE

STEFAN FLUKOWSKI
SŁOŃCE W KIERACIE
POEZJE

KONSTANTY J. GAŁCZYŃSKI
PORFIRJON OSIEŁEK
POWIEŚĆ

ALEKSANDER MALISZEWSKI
CZARNA BEATRYCZE
POEZJE

Ń I N A R Y D Z E W S K A
M I A S T O
POEZJE

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK
CIEN SKRZYPKA
POEZJE

N O W A M U Z A
WŁADYSŁAW SEBYŁA
PIEŚNI SZCZUROŁAPA
POEZJE

Dalsze tomy w przygotowaniu

F. HOESICK, WARSZAWA

